

MAJ

1911.



WIEŚ ILLUSTROWANA

# ZAKOPANE

ZAKŁAD WODOLECZNICZY  
**D-ra A. CHRAMCA** Tow. Akc.  
Otwarty cały rok.



## „J. Sosnowski” wł. C. LISOWSKI

Warszawa, Trębacka 9. Telefon 47-47

poleca wielki wybór **DUBELTÓWEK** — fabryk:

WESTLEY-RICHARDS & Co Ltd., London;  
W. W. GREENER, London;  
G. DEFOURNY-SEVRIN, Liège;  
MANUFACTURE LIEGEOISE D'ARMES A FEU, Liège.

**SZTUCERY:** J. SPRINGERA, HEYMA, MAUSERA,  
WINCHESTRA, FRANCOTTA i innych.

Cenniki na żądanie.

### MEBLE

wszelkich stylów  
i epok  
na składzie.

**LUDWIK ORTHWAGEN**  
Warszawa, Mazowiecka 2. Telefon 34-59.

Całkowite  
urządzenia mieszkań.

### Płockie Towarzystwo Meljoracji Rolnych

wykonywa: osuszania, nawadniania i poprawę gruntów ornych i łąkowych, uprawę rolną tofrowisk, zakładanie i użytkowanie gospodarstw rybnych, komasacje, wodociągi i kanalizacje.

**EKSPERTYZY. WŁASNA  
STACJA GLEBOZNAWCZA.  
WYKONANIE WŁASNYMI  
SIŁAMI I ŚRODKAMI.**

Roboty wykonywane są pod kierunkiem inżynierów specjalistów, przez wykwalifikowanych dozorców z Galicji.

Dyrektor dr. JAN BLAUTH.

b. prof. meljor. Polit. lwowskiej oraz starszy inżynier galicyjskiego Wydziału Krajowego.

Adres dla listów: Płock, Kolegjalna 14.  
" " depesz: Płock, Meljoracje  
Telefon l. 5.

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

## M. GUMKOWSKI

W WARSZAWIE, Nowosenatorska № 4.

Posiada wszystkie artykuły w zakres męskiego krawiectwa wchodzące, gotowe i na obstalunek, oraz ubrania do wszelkich sportów. Specjalność BRYCZESY. Wielki wybór BUREK SŁAWUCKICH. Ceny stałe.

# *Wies' ilustrowana*



Hr. Rena Czosnowska.



Pod figurą. Wieś Cichoburze, w Hrubieszowskiem, własność p. E. Pohoreckiego.



A J.

Idzie już, ręce otwiera przeczyste  
I błogostawi wiosenne posiewy,  
Każe jabłoni wdziac szaty śnieżyste,  
Jasnym spojrzeniem poskramia burz gniewy.

Po miedzach zioła zasiewa lecznicze,  
Gniazda ptaszętom zielenią oplata,  
A dokąd zwróci swe ciche oblicze,  
Stąd szept modlitwy dziękczynnej dolata.

A gdy się budzi jutrzeńka poranna,  
Staje nad ziemią w obłoku różanym,  
I drogę owcom wskazuje zbłąkanym  
— Najświętsza Panna.

HENRYK SKIRMUNT.

## MIESIĄCE.

MAJ.

Wiosna rozwinęła kielich uroczy. Zakwitł przed-  
cudny kwiat Maja, ukazując bogactwo tajem-  
nic swych głębin przepastnych, swych za-  
czarowanych otchłani, w których każdy atom jest  
jakby wcieleniem bóstwa.

Maj wzniosł sztandar złotolity, kwiecisty i sypie  
zeń na ziemię woń balsamiczną, sypie lazur i pur-  
purę i biel niepokalaną, jak młody śnieg z wirchów  
górskich.

Maj omotał drzewa białą i różową szatą kwiecia,  
łąki, lasy obsypuje oceanem kwiatów. Kwiaty rzuca  
na sady. kwiaty na pola, kwiaty do ludzkich dusz.

Powódź kwietna, bezmiar kwiecistych fal.

Burzy się od kwiatów i zieleni młodej, pachną-  
cej świeżością, jak perłowe ciało dziewczyny i upoi-  
sta woń jej warkoczy.

Rozgwarza się natura, staje się wielką filhar-  
monią tonów i pieśni. Dźwięczą w niej pojedyncze  
akordy słowiczych nokturnów, koloraturowe, na-  
technione artystem. Brzmia donośne barytony i te-  
nory kukułek, wilg, wodnego ptactwa.

Ziemia odprawia gody weselne, stroi się we  
wszystko, na co ją stać i jej oblubieńca słońce.  
Oboje tworzą bezmierne cuda, zalewają świat prze-  
pychem. Idzie po ziemi prąd rodny, jak burza,  
wrywa płody do życia do światła. Powietrze roz-  
grzane lubieżnie rozpyła dokoła namiętność, taki  
war bucha z przyrody, taki pęd rozkoszny o gigan-  
tycznej sile, że krew w żyłach ludzkich we wrzątek  
się zmienia. Jak soki drzewne i roślinne odmła-  
dzają nadwiedle łodygi i pnie stwardniałe, tak żar  
wewnętrzny, obudzony tchnieniem Maja, rozkołysa  
nerwy i tętnice ludzkich ciał.

Dokoła zaś, coraz piękniej na świecie. Już  
przekwitły białe, wonne czeremchy, przeminęła  
pachnąca młodość fijołków. Zapanowuje królestwo  
kwitnących sadów.

Gaje wiśniowe toną w grzywach białych pian,  
faluja, piętrzą się i wabią urokiem. Potop bieli  
rozpasany zuchwale spadł na drzewa i pochłonał je.

Biały ocean!

Rozszalały się kwieciami jabłonie i grusze, śliwy  
naciągają na swe korony bufiaste białe gazy, tar-  
niny dzikie już ubrane w muśliny. A oto rozwija  
się bez kiściasty i biały wielkokwiatowy jaśmin,  
o mocnym zapachu, wytwornym jak światowa da-  
ma. Konwalje wyrzwały ciekawie z za parawanów



Majowe żniwo. Pokutyńce na Podolu (z teki hr. M. Gr.)



Na tle parku. Łuka w Galicji (fot. amat. p. Olgi Karskiej).

swych liści i, zachęczone bajecznym wyglądem świata, rozsypały się wnet pośród cieni, jak młodziutkie pensjonarki w galowych sukienkach.

A wszystko to złoci słońce, obłękitniają obłoki, grzeje parne powietrze.

Rozszepały się brzozy, zielone włosy spadają im aż na ziemię, ciała i mięśnie okryła białoróżowa atlasowa powłoka. Rozkwiliły się miodne lipy, idzie od nich duszność i sytość. Zatrzepotały pierzaste klony, drżą osiki, szemrzą olchy. Siwe wierzby rozpuściły szeroko pawie ogony swych gałęzi. Taka roztocz liści mieszanina barw, mozaika złożona przeważnie z malachitu, alabastru i lapis lazuli.

Maj otworzył swój Sezam.

— Stasiu, oświadczyłeś się już pannie Róży? — pyta pani Adamowa swego jedynaka.

— Nie, proszę mamy.

— Cóż znowu! Dokąd-że będziesz zwlekał?... Do czego to podobne. Panna patrzy w ciebie jak w obraz i tylko czeka tej chwili. A ty nic.

— A ja nie mogę wydobyć z siebie natchnienia do tych oświadczeń. Cóż począć.

— Ale zamiaru nie zmieniłeś?

— Broń Boże! Nie kocham się wprawdzie w pannie Róży, lecz ostatecznie da się to zrobić. Tylko bez presji, moja droga mamo, bez presji.

Pani Adamowa przybrała wyraz twarzy surowy.

— Ociągać nie można — rzekła poważnie. — To jest panna wysokiego urodzenia, bardzo światowa, wybornie wychowana...

— Grubo przesadzona, konwencjonalna i... głupia. Nieznoszę takich lal zmanierowanych.

— Stasiu!

— No, przed mamą chyba mogę być szczerym? Pannie Róży, oczywiście, tego nie powiem.

— Ale... cóż ty wygadujesz?

— Mama sama doskonale to rozumie, że ta panna, którą mnie na żonę pasujecie jest dobrym modelem przeciętnej panny na wydaniu, z przewróconą mózgownicą, z pretensjami, poszukującej męża z flotą i nazwiskiem. Oto i wszystko, co się o niej da powiedzieć. Mnie takie cnoty nie wzruszają; szukam duszy i szczerości w kobiecie.

— Jakto szukasz?

— Niech się mama nie przeraża. Właściwie już nie szukam. Decyduję się zostać małżonkiem

panny Róży, lecz ideały moje są inne i te dla spokoju rodziny zachowuje w sercu. Pannie Róży na nic by się nie przydały, i do niej nie pasują. Moje marzenia, to nie kodeks światowy, nie zeszyt ostatnich mód, ani modne kąpiele, ani rubryka najwyborowszych epuzerów. Więc ponieważ na mnie wypadł los zostania owym wybranym... ha! trudno! idę na plac z fortuną i nazwiskiem. Ale duszy mej nie wymagajcie. To wyłącznie moje i... nie dla panny Róży.

— Jesteś bardzo wulgarny, nie masz ambicji ani dumy.

— Tak, to słuszna uwaga. Ambicji, dumy, ani siły woli nie mam; zabiłście to we mnie. Gdybym to posiadał, uciekłbym od waszych planów... gdzie pieprz rośnie.

— Ach, Stasiu!...

— Obraziłem mamę? O... przepraszam. Do widzenia.

— Dokąd idziesz?

— W pole, na łąki, do boru, przecie to Maj! Maj złoty, dziewiczy. Idę.

Staś wbiegł w wiśniowy sad i zatonął w nim. Stoi jak w pałacu zaczarowanym w jeden kwiat. Spływają mu na głowę gałęzie wprost jak z bajki, ciężarne kwieciami, białe wonne. Drzewa, rosnące gęsto i szpalerami tworzą niesłychane tunele, grotty tak piękne, fantastyczne, że zdają się złudą, która jest zbyt delikatną by trwała; rozplynie się zaraz jak sen. Przezrocze białe płatki spadają cicho na zieloną trawę, że usłana jest cała niby puchem z edredonów. Senność bije od tych głębin kwiatnych i poezja i czar.

Wiśnie kwitną. Wiśnie zalane białą kwieciami, jak morze w pianach. Aż otonakońcu białego tunelu, tam gdzie sad łączy się z łąką, coś majaczy, rusza się, czerwienieje. Staś wyteża wzrok.

To smukła postać dziewczyny, z rękoma wzniesionymi wysoko i zanurzonemi w gałęziach rozkwitłych. Głowa postaci tonie w białej topieli, ale Staś już ją poznał.

Twarz młodzieńca zajaśniała, płomień przeleciał mu przez nerwy, targnął żyłami.

W kilku susach stanął obok dziewczyny.

— Zulka, co tu robisz?...

— Olaboga!

— No, nie bój-że się. Cóż nie poznałaś mnie?

— A juści! Panica bym nie poznała! Ino się zalekłam, tak panic ksyknał.

— Nie z gniewem przecie.

— Ja wiem, panic dobry.

— Ale gdzieżeś to zawędrowała?

Dziewczyna stuliła ramiona, iakby ze strachu.

— Rwałam se kwiaty na łące, bo jutro procesja, dyć Zielone Świątki, i zmanily mie te wiśnie. Toż cudności... Jezu!

— Ty sama, jak wiśnia, wiesz, Zulka, o tem? Ty ładna jesteś, jak krasnka.

Dziewczyna zarumieniła się ogniście, błękitne oczy aż pociemniały z wrazenia, wypukła, okrągła pierś faluje szybkim tempem pod białą koszulą, ściśniętą wyszywanym gorsetem.

Paciorki uwiązane na białej ślicznej szyi drżą lekko. Zulka trzyma w ręku pęk gałęzi wiśniowych i cała wygląda jak Maj. Jej czerwona spódniczka zlewa się harmonijnie z kolorytem otoczenia, ciemne bujne włosy wymykają się falą z pod barwistej chustki.

Staś patrzył z rozkoszą na ponsowe, mokre usta dziewczyny i czuje w swej krwi taką wichurę, że aż niemal krzyk żywiołowy i jakby rozpaczliwy:

— Ratujcie mnie! Gwałtu!

Zulka patrzy mu prosto w oczy, słodko, obiecująco. Pewno widzi, „co się ta w panicu wyrabia“, ale na razie uznaje potrzebę politykowania.

Mówi pół-szeptem:

— Panicu, kiej wiśnie dojrzeją, przyjdę tu na jagody, można? Staś zaczyna dygotać, jakby miał dreszcze, palą go skronie.

— Ja już mam dojrzałą

wiśnie, krasną.

— A gdzie?...

— Ot, tu, tu... twoje usta.

Staś chwytą dziewczynę w ramiona i płomienne swe wargi wpija w jej usta z szałem.

Całuje bezpamiętnie, dławi ją w objęciach. Zulka przypadła mu do piersi gorącym swego ciała,



Zaprzęg p. Jackowskiej z Gostomi, w Rawskiem (fot. amat. p. W. Łoskowskiego).

przymknięte ma śliczne oczy, głowę rozkosznie w tył pochyloną.

— Panicu złocisty, panicu złocisty! — szepce w upojeniu.

Nagłym ruchem otacza ramionami szyję Stasia i sama całuje go na nic nie pomna. Oboje szaleją, krew młoda, gorąca gotuje się w żyłach i aż parzy. Tulą do siebie rozpalone twarze przejmują wzajemnie iskry elektryczne sypiące się z rozgorzałych źrenic. A na głowy ich złączone uściskiem spływa cicho kwiat wiśniowy, niby błogosławieństwo majowe. Szemrzą nad nimi wonne gałęzie i zapach ronią słodki, brzęczą złote pszczoły, czasem zahuczy brunatny bąk, zaplątany w kwieciu. Z pobliskich olszyn dochodzą pojedyncze głosy żab, z daleka woła kukulka. W naturze wszystko śpiewa, nuci, gwarzy i raduje się młodem życiem.

Nagle w ten koncert przyrody wpada wrzaskliwy krzyk pawia. Ptak gdzieś jest blisko i także cieszy się kwiatami, słońcem. Może woła na swą samiczkę, by wspólnie głosić uciechę.

Ale Stasia i Zulkę głos ten przestrasza.

— Jesteśmy za blisko dworu, Zula, uciekajmy.

— Uciekajmy, panicu! O! Jezu mój!

Chwycili się za ręce i mkną szpalerem wiśniowym z pochylonemi głowami, roześmiani, szczęśliwi. Kwiaty białym strumieniem płyną z potrącanych



W majowe rano (fot. amat. hr. Joanny Czapskiej).

gałęzi, tworząc jakby wyłączną subtelną mgłę, która okrywa zakochanych w sobie, szalejących, wiejską dziewczynę i panicza ze dworu.

Z sadu, z pod osłon białych wiśni, wybiegli na łąki. Trawa bujna, soczysta i mnóstwo kwiatów: smólek krwistych i lepkich, białych margerit, lila dzwonek, żółtej przytulji, tamują ruchy, zniewalają do podziwiania ich. Staś i Zulka idą wolno zdyszani, przytuleni do siebie. Ona pochyla się rwąc garściami tęczę kwiatów, oddycha szybko i urywanie śpiewa jakąś piosenkę.

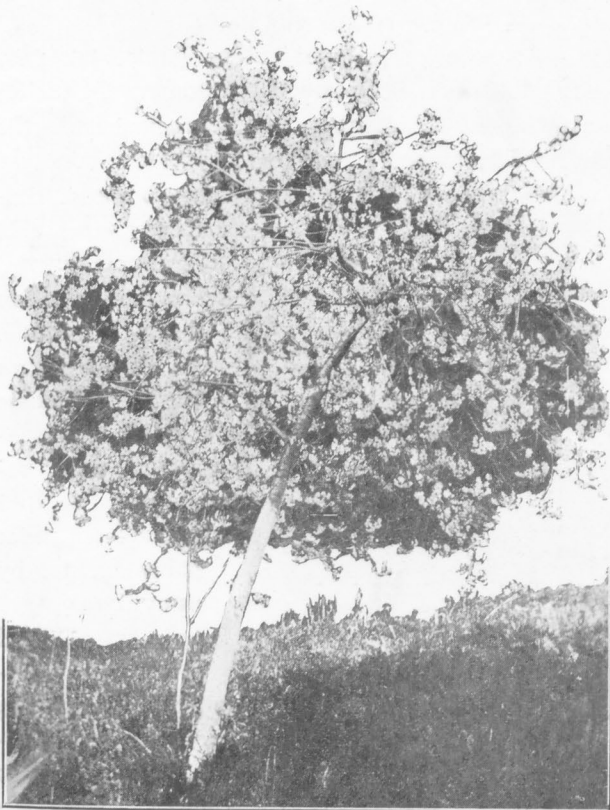
— Oj, da dana, danaaa... — kończy każdą strofkę.

— Lubisz ty mnie Zulka? — pyta Staś.

— Oj, lubię panicza. Oj, lubię! Panic to moje słonko.

— A wyjdiesz za mąż za Jaśka młynarzowego, co?...

— Niby to panic nie wiedzą, że mój wódki do niego nie psepiła.



„I zakwitła wisienka“ (fot. amat. p. J. Mniszek-Tchorzwickiej).

— No, i nie wyjdiesz? A jak cię zniewolą?  
 — To ucieknę z chałupy i jus. Kto mie ma  
 zniewolić? Do probosca posłam i powiedziałam  
 ze chyba lepiej śmierć, a za Jaśka nie  
 pójdę. Probosc tera ślubu nawet  
 by nie dał.

— To nie miły ci Jaśko?  
 Dziewczyna westchnę-  
 ła. Po chwili dopiero  
 Staś usłyszał cichy szep-  
 t:  
 — Jeden mi tylko  
 miły... ale nie Jaśko.  
 Jesce cegoj!

Staś przygarnął ją  
 do siebie.

— Mnie miłujesz? —  
 pyta ustami na jej ustach.

— Juści, a kogoż by?...

— Dziewucho, moja jedyna!...

Weszli w cienisty gaj, przyty-  
 kający do łąk. Zapach konwalji  
 buchnął na nich odurzającą wonią,  
 jak z osobliwego kadzidla. Cały gaj podszyty biela-  
 konwalji, perły tych kwiatów zaściewają podnoże,  
 drzew drząc ślicznie na łodyżkach smukłych w opra-  
 wie szerokich liści. Dywan konwaljowy, jeden biały  
 rozpachniały puch. Zulka rzuca się do kwiatów.  
 Bose jej stopy opalone, ale zgrabne i dość szczupłe  
 toną w rzece konwaljowej. Dziewczyna klęka i rwie  
 zapamiętałe.

— Panicu złocisty! To ci śliczności. Oj...  
 Panicu... laboga!...

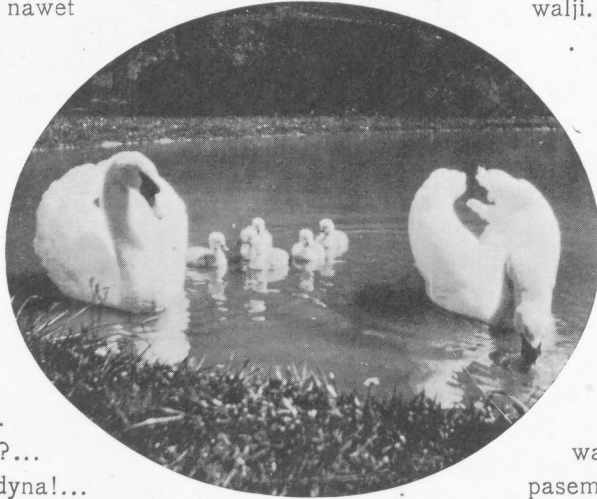
— Zulka... Zulka...

Staś klęknął obok dziewczyny, namiętnie ją ca-  
 łuje. Okrywa pażądliwymi pocałunkami jej usta,  
 oczy, różowe po-  
 liczki, szyję. Chci-  
 we wargi Stasia  
 spadają na okrą-  
 gły, toczony kark  
 dziewczęcy, znaj-  
 dują białe róże  
 piersi i chłoną,  
 chłoną rozkosz.

Pękły barwne  
 paciorki, rozsypa-  
 ły się sypką ka-  
 skadą pomiędzy  
 konwalje.

A oni oboje  
 spleceni w uści-  
 sku silnym jak ży-  
 wioł rozhukanej  
 fali, gorącym jak

płomień, pragnącym jak spalona ziemia dżdzu. Do  
 wtóru ich pieśni wiekuistej i wiecznie młodej roz-  
 śpiewały się w gaju słowiki. Otacza ich urok  
 szału i mocna woń rozkołysanych kon-  
 walji.



Labędzie  
 (fot. am. p. K. Łuniewskiej).

.....  
 Wieczór rozsunął po łąkach  
 swe błękitnawe woale, zgę-  
 szcza je i opuszcza niżej.  
 Uniosły się z ziemi  
 mgliste opary i zmąciły  
 koloryt kwiecia. Wszy-  
 stko zatonęło w burzą-  
 cych się mętach mgieł.  
 Opary zawisły nad ol-  
 szynami, wpełzły cicha-  
 czem do gaju i jęły kon-  
 walje do snu namawiać. Kilka  
 pasemek chłodnych liznęło przy-  
 tulone do siebie głowy Stasia i Zulki.  
 Siedzieli na mchu, jeszcze zasłucha-  
 ni w przyspieszone bicie własnych

serc, w szmer uspokojonej krwi.

— Zulka, nie boisz się? — spytał Staś szeptem.

— A cegoj?...

Przyłożył usta do jej ucha. Ona przytuliła się  
 mocniej, przejął ją lekki dreszcz.

— Niech będzie, co chce, a panica miłuję, jak  
 Boga.

— A jak cię Jasiek weźmie?

— Niedocekanie jego! Słysz panic, jak zaby  
 rechocą, a słowicek wycina kuronty. Oj, dobrze  
 na świecie żyć, dobrze.., ale... z panicem. Nie  
 chce męża, nikogoj...

Garnie się do niego jak dziecko do matki. Sta-

sia-  
 siovi naraz robi  
 się gorzko, żal  
 wnurza mu się do  
 duszy i nurtuje.  
 Ta dziewczyna  
 kocha go, oddaje  
 mu się cała świe-  
 ża, dziewicza, po-  
 wabna. A on?  
 Posiadł ten kwiat  
 polny na to, by  
 nasycający się  
 jego krasą odejść  
 w swój świat cie-  
 plarniany, gdzie są  
 wytworne i pięk-

ne, jak  
 Fragment  
 z parku  
 w Dżurynie  
 na Podolu. roślina,





ale gdzie może nie znajdziesz takiej Zulki, szczerzej bez obsłon etykietalnych, miłującej i od-dającej się ukochanemu z za-parciem się własnego losu i następstw. Nie rozmyślał długo; zbyt blisko czuje przy sobie młode ciało rozkocha-nej dziewczyny, zbyt pięknie śpiewają słowiki, rechoczą za-by zgodnym, donośnym a me-lodyjnym chórem, i wieczór ma-jowy rozelkany w rozkosznych spa-zmie, zbyt wiele nanosi do duszy narkotyków upajających jak alkohol.

W gaju huczą chrabąszcze, wśród ga-łęzi słycać łomot swoich skrzydeł, cicho jak myśl pływają pomiędzy liśćmi nie-toperze. Zdaleka, od folwarku, słycać klekot bocianów i ryk bydła powracającego z pa-stwisk. Nad głowami Stasia i Zuli tańczy ćma komarów, słod-cyz jest w po-wietrzu, dusz-ność błoga, zupeł-nie odrębna i mi-łość. Staś uniesio-ny roztkliwieniem natury sam staje się jakby jednym atomem jej, Zulka drugim. Wieczór omotuje ich ciemnią, osrebrza księżycem, oni zaś trwają w uścisku serdecznym, namiętym, zatopieni w burzliwych nurtach pragnień szalo-nych, bezpamiętnych pożądań i roz-koszy aż bolesnej, tak wulkanicz-nie olbrzymiej. Nie czują nic po nad obopólny ogień własnej krwi, po nad wściekle roz tętniałe pulsa, żar ust spojonych z sobą mocą tytanicznych żąd.

— Panicu najdroższy!... Zulka!... — te okrzyki wyr-ywające się z pod serc obojga, szmery całusów, szepty pło-mienne słyca tylko natura łą-czająca ich, tak samo silna uczu-ciem, jak oni, tak samo rozsza-łała pożądaniem, nasiąkła miłością, jak oni. I tak samo szczerza w objawach swych.



„Pierwsze pozowanie“  
(fot. am. hr. Ledóchowskiej z Frydrykowa).



Kroczew. Lilje  
(fot. amat. p. Józefowej Czarnowskiej).



Bracia  
(fot. am. p. K. Dziekońskiego).

Cały gaj kocha, pragnie i wza-jem się sobie oddaje.

— Stasiu, proszę cię, za-przestań tych codziennych wy-cieczek do natury, jak mó-wisz. Dziś jedziemy do Wólki na twoje zaręczyny. Ojciec oświadczył się rodzicom Róży o jej rękę dla ciebie... zo-stałeś przyjęty. Dziś z nią po-mówisz i zamienicie pierścionki; są przygotowane.

— Dobrze, proszę mamy.

Staś uznał przemówienie matki za zby-teczne, całą bowiem taktykę postępowa-nia rodziców znał dokładnie. Natomiast przerażają go zaręczyny z panną Różą, ale nie lubi i nie umie walczyć.

Czuje tylko, że gorycz za-lewa mu krtań, i że za serce chwyta go szor-stka ręka koniecz-ności tak brutal-nie, że głuszy w niem każdy de-likatniejszy nerw. Ubrał się po ga-lowemu i machi-nalnie wziął z rąk ogrodnika wspaniały bukiet róż ponsowych i białych przeznaczonych dla narzeczonej.

Ale gdy słaął na werendzie i ujrzał sad wiśniowy, okwitły już, jakby zwiędły, tęsknota wżera mu się do duszy, tęsknota do łąk rozwitych, do rechotu żab, do gaju, do ich gaju.

Westchnienie ulatuje z jego piersi i gna tam... gdzie pa-chną konwalje.

Zapachniały mu włosy roz-kochanej w nim dziewczyny i obraz jej widzi przed sobą. Szept jego płynie w dal, do wędnących konwalji, do wi-śni okwitłych.

— Zulka... daj mi usta twoje.

Konie zasły...

HELENA MNISZEK.



Przed chatą w Trościankach, w Mohylowszczyźnie  
(fot. amat. p. Ol. Gordziałkowskiego).

## „NIE OPUSZCZAJ NAS!”

Pada z ukosa słońko majowe,  
Wieczorna rosa perli dąbrowę,  
Zmilkł chorał ptaszy, zasnęły kwiaty...  
Dobytek z paszy wraca do chaty —  
Skrzypi żałośnie żóraw studzienny...  
Na starej sośnie bocian półsenny  
Na jednej nodze pogląda z góry  
Po wiejskiej drodze hen! do „figury“...

Idzie słońko zachodzące coraz niżej, a coraz  
czyżej, ku ziemi kochanej, ku wiosce rodzonej idzie.

Idzie ku polom wonnym, ku lasom szumiącym,  
ku chatom niskim, ku białemu dworkowi idzie.

To przystanie przed pasyjką, to się w łącznej  
strudze obaczy, to za wzgórzkiem przyczai, to za  
gaik schowa, a idzie...

A za słońkiem zachodzącym, za słońkiem spo-  
kojnym po deptanej blaskiem steczce, płynie zmierzch  
mroczny, zmierzch siny, zmierzch szary...

I sieje gwiazdy a rośe...

Na niebie światelka migocące — gwiazdy, na  
ziemi, jakby odpustnych paciorków posuń — rosa  
srebrzysta.

A po rośie, po wieczornej, hej! hej! biegają  
echa dzwonne, grają... zawodzą... przyśpiewują...

Hej! hej! leci pieśń tęsknica, pieśń ziemską,  
dziwna, wielka.

Leci szum drzewin, ptaków świerkanie i szmer  
runi i ligawkowa śpiewka i gwar pastuszy i pszczół  
brzęczenie...

Leci „Anioł Pański“ zagonów.

Wszystko wzdycha a śpiewa...

A najgłośniej, najżałośliwiej pod sosną staruchą,  
u kapliczki bielonej śpiewają ludzie.

„Nie opuszczaj nas!  
Nie opuszczaj nas!  
O Matko, nie opuszczaj nas!“  
Śpiewają, ciągiem śpiewają...  
U stóp Maryi lampka się pali,  
Na świętej szyi sznurek koralu,  
Dzieciatko Boże wianuszek w ręce  
I kłosne zboże ma na sukience...

A luda moc! Jezu słodki!

Tuż przy balaskach klęczą dziewczęta,  
W krasnych zapaskach, strojne od święta,  
Za dziewczętami, jak sierpem rzucił,  
Kłęka ze łzami, kto z pola wrócił,  
Kmiecie, gosposie, parobcy, dzieci...  
I pieśń po rośie w zaświaty leci!

„Nie opuszczaj nas!“

Hej! hej! stara-ś ty, sosno! ale i lud nie dzi-  
siejszy, i pieśń leciwa! Hej! hej, starucho! dużoś  
ty rosy wypila, siła wichur słyszała i ludu śpiewa-  
jącego moc, jakby dziś pod ugwieżdżonem niebem.

Hej! hej! a i pieśni słyszałaś różne.

Płynęły ku gwiazdom, od ziemi płynęły, od pol-  
skiej, jakby dzisiaj — jednakie...



Wieś Rudy, w Lubelskiem. Wojciech Koter, 76-letni włościanin,  
wraz z żoną, w niedzielne popołudnie przy czytaniu gazet  
(fot. amat. p. K. Kurkiewicz).

„Nie opuszczaj nas!“ ...

Hej! hej! znasz to wołanie, drzewinko, znasz!  
boś tu zrodzona, wyrosłaś tu, jedną piersią wykar-  
miona, sosenko! chato! trumienko! krzyżu przy-  
drożny!

.....  
Śpiewają... Cięgiem śpiewają...  
Barć stara... lud nie dzisiejszy i pieśń leciwa...  
Jeden maj młody...  
Śpiewają, cięgiem śpiewają... Aże zmierzch  
dzwoni! aż gwiazdom dziwno!

„Nie opuszczaj nas! Nie opuszczaj nas! O Ma-  
tko, nie opuszczaj nas!“

[ Żaden ptak, żadna ziemia, żaden kraj tak nie umie.

Niema nigdzie takich świątek,  
Wśród królewiatek, czy paniątek,

Jako w naszej wsi!  
Gdy maj stanie pod „figurą“,  
Gdy oblegną ludzie chmurą,  
Kiedy nasza pieśń przeleci:  
„Błogostawże swoje dzieci,  
Panienczko Ty“...

Niema nigdzie takich świątek,  
Wśród królewiatek, czy paniątek,  
Jako w naszej wsi o maju,  
Jako w naszej wsi!

Niema nigdzie! boć i o ból serdeczniejszy,  
o silniejsze łaknienie nadziei, o większe upragnienie  
pokrzepku trudno!

„Nie opuszczaj nas!“ tylko z polskiej piersi  
może wzlecieć modlitwą — śpiewaniem!

K. LASKOWSKI.

## ŚNI MI SIĘ...

Śni mi się uroczy, cichy las  
W wieczornych zórz poźłocie...  
I wąskiej ścieżki szary pas,  
I kwiatów w koło krocie...  
Ścieżka się tak, jak długi wąż  
Wśród drzew i krzewów wiję...  
Tajemny las śni mi się wciąż,  
A w piersiach serce bije!...

Śni mi się cudny, jasny staw  
Z zielonym strojnym brzegiem,  
Falują kity bujnych traw,  
Trącone wiatru biegiem...  
Faluje toń, jak w baśni snów  
Na szmaragdowym tle...  
Ten jasny staw śni mi się znów,  
A w sercu tak mi źle!...

Śni mi się kraj nizinnych łąk,  
Zielone te obszary,  
Gdzie kwitnie głogu wonny pąk,  
Gdzie mech się krzewi szary...  
Gdzie blade kity zwiesza wrzos,  
Gdzie błędzą siwe mgły...  
Śni mi się kraj wilgotnych ros,  
A w oczach stają łzy!...

Śni mi się czarny ziemi szmat,  
Tej naszej, polskiej roli...  
I długi wieniec szarych chat,  
Łan zboża i kąkoli...  
I śnię, jak słodko będzie tam  
Przytulić skroń tułaczą...  
Sen... Drgnęły echa jakichś gam...  
To tylko drzewa płaczą!...





## MAGNAT.

Z magnatów — słynęła zawsze Polska. Nigdzie może, w żadnym kraju, wiekowa kultura dumnie wybujałej krwi rycerskiej nie dała tak bogatego szeregu typów magnackich, jak u nas właśnie.

Byli magnaci-królewęża, magnaci-wodzowie, magnaci-politycy — zarówno jak magnaci-wichrzyciele, magnaci-warchołowie, nawet — magnaci-zdrajcy...

Grała w nich wielka, burzliwa, do czynów prąca krew po wszystkie wieki. I moment dziejowy stawał obok siebie najsprzecznieszą tej krwi kontrasty. Maćko z Borkowic i Spytko z Mielsztyna, Wincenty z Szamotuł i Czarny Sulimczyk Zawisza, Zamoyski kanclerz i Samucha wicher, panowie z Tęczyna i dom Zborowskich — Opaliński i Sapiecha — Ossoliński Jerzy i Radziwiłowie Janusz i Bogusław, Jeremi Wiśniowiecki i Jerzy Lubomirski.

Każdy wiek, każdy dziesiątek lat naszej historii nowe przeciwieństwa, nowe typy tworzył.

A kiedy spełniło się nad krajem ciężkie przeznaczenia brzemie, kiedy losy narodu inną, bolesną poszły koleją, duch społeczny znękany, zgnębiony nieraz wracał pełne bólu i troski oko ku tym, co w jego szeregach oddawna „aristoi“ się zwali. Naród oczekiwał od nich pomocy, ratunku, otuchy, pocieszenia, czynu krzepiącego, nadziei...

I wówczas „aristoi“ pośród naszych magnatów budzili się z odrętwienia, wstawali z śpiączki, wychodzili z własnych dostatków, szli do narodu jako jego czynni i chętni czynu współobywatele.

Oto przeżyliśmy taki moment w ostatnich dniach.

Stanął przed narodem Potocki Józef z wielką naukową fundacją. Prawnuk Stanisława, pierwszego u nas ministra oświaty, potomek Mikołaja i Rewery hetmanów, Ignacego twórcy konstytucji, ofiarował Towarzystwu Naukowemu własną siedzibę na instytut nauk doświadczalnych kosztem 200,000 rubli.

Józefa hrabiego Potockiego zna kraj nie od dzisiaj. Dziedzic wielkiego, tylokrotnie w naszych dziejach głośnego imienia, wielkich tradycji i wielkiego majątku jest indywidualnością niezwykłą, typem niezwykłym.

„Aristos“ to z urodzenia i z pojęć.

Indywidualność bogata w gorącą krew i dumną, silną wolę, która nad tą krwią bujną włada. Skupiony rozum, szla-

chetna ambicja, samodzielność, świadomość obowiązków, rycerska zdolność do przyjęcia wszelkiej odpowiedzialności. A przytem — rzadka wytrwałość. Cokolwiek zacznie, doprowadzi do końca. Nie cofnie się przed żadną trudnością, nie zejdzie z drogi żadnemu obowiązkowi. Duma szlachcica, wytrwałość dojrzałego męża, serce obywatela.

W innych czasach, innych kolejach szedłby może z dobytym mieczem na czele wojsk — może rozorywałby granice pługiem kultury i postępu — dziś, jego gorącej samodzielnej, żadnej czynnego życia duszy stepowej musi wystarczyć łowiecka do Afryki i Indji wyprawa, by zgasić zapały młodej krwi, co przez tyle wieków o wczesnym ranku życia do czynów plonu stawała!...

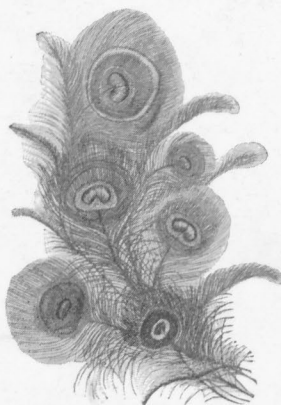
Potem powraca i staje się rolnikiem, gospodarzem troskliwym i mądrym na wielkim szmacie ziemi ojcowistej. Rozsądek, rozum biorą krew w cugle. Wskazują jedyne cele jakie nam zostawiła polityczna bezsilność: ład ekonomiczny, przyrost fizycznych sił, odporność materialna. Hrabia Józef Potocki staje się wzorowym gospodarzem, wzorowym administratorem wielkiego majątku, zabezpiecza wielki kawał polskiej ziemi przed możliwymi skutkami wrogiej nam polityki, stwarza na Wołyniu szeroką podstawę ekonomicznego rozwoju i przemysłu, zakłada fabryki, buduje nową koleją.

Zaledwie te przedsięwzięcia wprowadził w czyn, szuka nowego pola działalności, ogląda się na rodzinne tradycje, funduje wielki przybytek nauki polskiej, otwiera krajowi jedno więcej okno na świat kultury i wiedzy.

I myliłby się bardzo ten ktoby w tych czynach szukać chciał zadowolenia ambicji, wrażliwości na rozgłos i sławę imienia.

Hrabia Józef Potocki czyni to, bo dusza jego uczuwa potrzebę czynu takiego, bo rozum i serce wskazały mu drogę obowiązku obywatelskiego, bo patriotyzm jego nie jest ani szyldem, ani partyjnym sztandarem, ani profesją chcącego się na wierzchu utrzymać działacza — jeno uczuciem.

Uczuciem prawdziwym, co samo sobie wystarcza, a drugim mocną daje podporę.





Hr. Józef Potocki.

## Ochrona przyrody kraju.

Mowa p. Julia Brunickiego na posiedzeniu Sejmu, we Lwowie.

...A teraz niech mi wolno jeszcze będzie przejść do kwestji interesującej w równej mierze pod względem w pierwszym rzędzie naukowym, dalej też i w praktycznym kierunku, oba narody kraj nasz zamieszkujące.

Komisja budżetowa proponuje uchwalenie na cele utrzymania pomników historycznych, oraz na poszukiwania archeologiczne, kwoty razem zwyż. 372.000 kor. Na badanie przedhistorycznej fauny i flory kraju natomiast, niema żadnej pozycji w budżecie krajowym. Tak samo nie znajdujemy żadnej pozycji — prócz subwencji na opłacenie rat dla gmachu budować się mającego przy akademji Umiejętności na jej cele — na subwencionowanie badań przyrodniczych w kraju, na prace z tego zakresu i na zbiory.

Zupełnie pod tym względem inne stosunki panują w innych krajach a tylko dwa przykłady niech mi tu wolno będzie pokrótce przytoczyć.

Czeskie muzeum przyrodnicze w Pradze, zbudowane kosztem kraju w r. 1891, kosztem kor. 3,800,000, otrzymuje teraz z funduszków krajowych stałą roczną subwencję kor. 107.000.

Muzeum węgierskie w Peszcie rozporządza jeszcze większym budżetem, a w r. 1905 np. jego wydatki preliminowane zwyczajne wynosiły zwyż kor. 536.000, nadzwyczajny budżet zaś kor. 54.000.

Przepisy i zarządzenia władz krepują właścicieli nieruchomości znaczenia historycznego, zmuszają do utrzymania ich w sposób specjalny, nie pozwalając na dowolne użytkowania; kraj i państwo przyczyniają się co prawda, w ważniejszych wypadkach do kosztów powstałych.

Nad zabytkami przedhistorycznej fauny i flory, ba nawet nad zagrożonymi w istnieniu okazami fauny i flory terażniejszej nikt nie czuwa, i z największą nieraz bezmyślnością dążymy do wyniszczenia nawet dla nas pożytecznych gatunków.

Znikły tury z czasów historycznych, zamieszkujące niezmierzone ongi bory naszego kraju; żubr na wymarcie, bo niedobitki tylko wiodą marny żywot w puszczy białowieżskiej i kilku zwierzyńcach. Znikł bóbr niegdyś częsty np. na bagnach nadbużańskich, ponoś jakieś niedobitki jeszcze wegetują na Polesiu. Gdyby nie uchwała tego sejm, gdyby nie ustawa krajowa z 19 lipca 1869 (Dz. u. kr. 26) byłyby już kozice i świstaki przeszły do wspomnień historycznych, i tu z najwyższem uznaniem nawet obcy przyznać musi, iż pierwszą taką ustawę ochronną powziął ten właśnie sejm.

Nie lepiej dzieje się np. z sobolem i gronostajem, które dziś do największych rzadkości myśliwych

należą. Wilk, ryś, niedźwiedź i dzik też niezadługo znane będą tylko z okazów muzealnych.

Drobne ptaszki śpiewające, zamieszkujące nasze lasy, wikle i pola, przeważnie sojusznicy człowieka w walce przeciw szkodliwym owadom i robakom, marnieją i zmniejszają się ilościowo, z wielką dla nas szkodą — a żadne trutki, ani inne pomysły ludzkie, nie zastąpią ich pracy w niszczeniu szkodników. A nikną one, bo je człowiek tysiącami wyłapuje dla celów zdobniczych, podyktowanych wszechwładną modą, bo nie mają spokoju w czasie gnieźdzenia się, — wiele odmian gnieźdzących się po dziupłach drzew, jak dzięcioły lub dzikie gołębie, niema też gdzie się gnieździć, bo nowoczesne gospodarstwo postępowe leśne odbiera im stare, dziupławe drzewa.

Rzeki nasze niegdyś pełne ryb i raków pustoszeją, bo ustawa rybacka podlega wpływom polityki i natychmiastowego dochodu, bo dzicy rybacy wyławiają płótnami najdrobniejszy już narybek, bo regulacja rzek nie uwzględniając należycie potrzeb, zabiera i zamyka naturalne tarlisko, ryb zaś nie można nauczyć, by dla zaspokojenia popędu ciągnęły w pewne, przez człowieka wskazane, miejsca — wreszcie dlatego, bo człowiek zatruwa im wody rzeczne odpadami fabryk, ropą i trocinami z tartaków. Głowacica znana już tylko starym rybakom, choć nie tak dawno wcale częstym bywała gościem w naszych rzekach czarnomorskich; lipień stał się rzadkością, ba nawet rak niezadługo należeć będzie do przeszłości.

Z florą naszą nie lepiej się dzieje; cis i limba w górskich lasach naszych są już wielkimi rzadkościami, jawor też powoli znikać zaczyna, a całe szeregi roślin górskich, zwłaszcza szarotkę, niszczy ręka turystów, rwących nietylko kwiat, ale zwykle i całą roślinę, którą potem za chwilę, zwiędłą odrzuca na bok.

Nielepiej dzieje się z innymi zabytkami przyrody: skały blisko kolei i gościńców leżące, zamienia się na kamieniołomy, wodospady zmusza się do wytwarzania siły motorycznej, starodrzewia znikły już a w ich miejsce nie wszędzie weszły racjonalne kultury — często pozostały pustki, niegodne nazwy pastwiska, które za lat kilka staną się pustkami zupełnemi.

Wołamy wszyscy o podniesienie turystyki, twierdzimy, iż to jeden z ważnych momentów wychowawczych, że to czynnik socjalny pierwszej wagi, że to wielki moment finansowy, bo wprowadza — albo może wprowadzić obcy grosz do naszego kraju. Ależ panowie, czy rozwinię się turystyka, choć ułatwimy dostęp w góry, lecz ogołocone z lasów, pozabawione stawów i jezior, wodospadów i widoków skal-

nych? czy pójdzie kto do lasu głuchego jak grób, a w góry pozbawione wszelkiego naturalnego uroku!

Z odwrotnej strony, czy panowie nie wiecie, iż piękne zasobne muzea przyrodnicze stanowią wielką atrakcję dla turysty inteligentnego, że sprowadzają do kraju licznych obcych uczonych, że są chlubą krajów i narodów?

Nie idzie mi jednak o to, by dla piękności przyrody, dla utrzymania cudnego widoku wstrzymać bieg pracy i postępu; rozwój ludzkości wymaga przede wszystkim środków do życia, do coraz lepszych warunków tegoż, ciężą na nas obowiązki starania

Dla ochrony najwybitniejszych kilku krajobrazów całokształt pewien obejmujących, dla dania przytem faunie i florze dzikiej zupełnej swobody bez wszelkich ograniczeń ludzkich, należałoby stworzyć przynajmniej dwie większe rezerwy w górach naszych — prawdopodobnie w Tatrach i Czarnohorze — oraz kilka średnich i najmniejszych w paru wybitnych punktach naszego kraju. Trzeba dalej chronić mniejsze typowe zabytki przyrody, nawet te dziś jeszcze żyjące, od zagłady zupełnej, od bezmyślnego czy nawet złośliwego uszkadzania i tępienia. Należy badać przyrodę tego kraju, szukając tego, co dziś jeszcze jest,



Droga leśna w Jaropowcach, na Ukrainie (fot. amat. T. B. Poďhorodeńskiego).

i dbania o to życie — ale z drugiej strony nie wolno nam lekkomyślnie, a nieraz bezmyślnie niszczyć piękności naturalnych naszej ojczyzny, nie wolno nam zamieniać jej w pustkę, gdyż za to odpowiadać będziemy wobec dzieci i potomków naszych, a chyba nie chcemy w ich oczach uchodzić za Wandalów, Hunów lub Tatarów, gdy tak wiele rozprawiamy o cywilizacji, postępie i rozwoju.

Cóż więc robić mamy, by wobec potomności nie zasłużyć sobie na miano Wandalów XX wieku?

Będę się starał pokrótce na to odpowiedzieć, i opierając się o to, co już w tym kierunku zdziałali inni w swych krajach, myśli kilka rzucić.

ale za rok, dwa lub za lat dziesięć ulegnie niezbędnym dla cywilizacji regulacjom, osuszeniom, karczunkom, i w ogóle przemianom kultury obecnej na inną, choćby w ludzkim pojęciu lepszą. Trzeba dalej dbać o to, by wykopaliska przyrody z czasów zamierzchłej przeszłości tego kraju nie marniały, nie były wywożone po za granicę, by zamiast być chlubą naszych zbiorów, nie stawały się przedmiotem atrakcji muzeów obcych nam, a nieraz wrogich narodów.

Nie trzeba nato milionowych sum, ale rychłego wzięcia się do dzieła, pomocy kraju i całego społeczeństwa dla dobrych chęci jednostek, pełnych

zapału lub dających się jeszcze zachęcić — a porzucia ogółu.

Podniesione powyżej sposoby działania i niezbędne zabiegi dla ocalenia na rzecz potomności bądź to resztek żyjących jeszcze zwierząt i roślin bądź też szczątków żywności oraz martwin kraju naszego pozwolę sobie teraz nieco szczegółowej przejść i omówić.

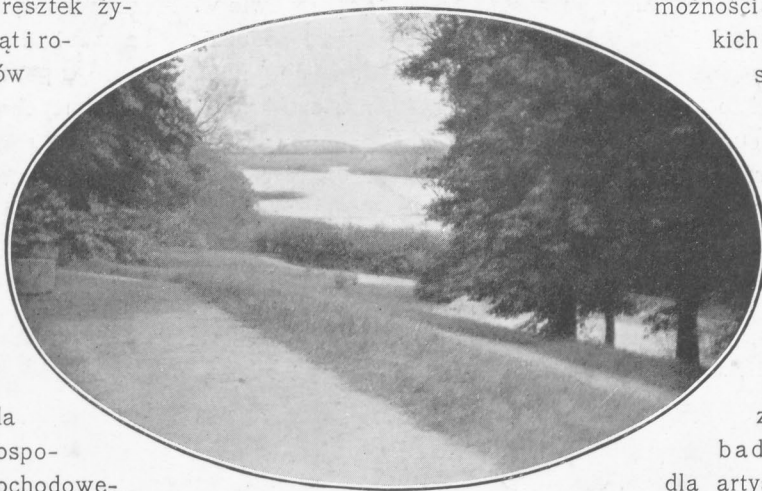
Wspomniałem więc naprzód o rezerwacjach. Są to przestrzenie kraju dla celów przemysłu, gospodarstwa i wogóle dochodowego wyzysku pracą ludzką mniej nadające, lub od tego postanowieniem ogólnem wyłączone, o ile możliwości, stałe naturalne granice mające, w pewną całość zaokrąglone, pod względem przyrodniczym w tym lub owym kierunku typowe, od środowisk, a przynajmniej od dróg publicznych niezbyt oddalone (ze względu na pewną dostępność dla turystów), które wyłączają się od bezpośredniego dochodowego użytkowania, a przeznacza na cele doświadczalne, na rozmnażalnie rzadkich wymierających zwierząt i roślin, i na uczelnię, pośrednio człowiekowi korzyść przynoszącą.

Tworzy się je, — im będą większe, tem lepiej w górach dla ocalenia wspaniałych zabytków przyrody, skał, jezior, wodospadów, formacji całych; dalej

na stepach, na wrzosowiskach, o ile możliwości nad brzegami wielkich stawów i jezior, w lasach niżu, wogóle tam, gdzie uczeni znawcy wykazą potrzebę zaopiekowania się całością przyrody danego typu. Otacza się je ścisłą opieką, tworzy niezbędne drogi ścieżki dla dozoru i dla turystów oraz badaczy zwiedzających, dla artystów szukających natchnienia, dla przepracowanych szukających wytchnienia i spokoju.

Nie wolno tam nic zmieniać poza niezbędnym utrzymaniem dróg i ścieżek, nie wolno zwierząt niepokoić ani tępić. Niech zgrzybiałe od wieków drzewo, padając, tworzy grzędy na których rozwijać się będzie potomstwo ich dzieci; niech się swobodnie rozmnaża wszelaki zwierz, według praw i uchwał ludzkich pożyteczny i szkodliwy; natura sama ureguluje ich ilość, zresztą okazy przechodzące granice sąsiedzi usuną, szczęśliwi, iż się udało dostać tak rzadką zwierzynę.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Rybienko, własność p. K. Skarzyńskiego. Widok z parku na Bug i most kolejowy (fot. amat. p. Róży Hussarzewskiej).



Dąb-olbrzym w parku Piotrowickim, w Grodzieńskim, własność p. Albina Dziekońskiego (fot. am. p. K. Dziekońskiego).

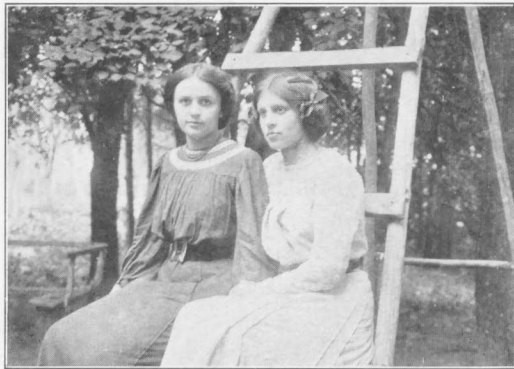


Stara wierzba w Książniczkach, w Miechowskim (fot. amat. p. W. Górskiego).





„Panna z lalką“.



„Panienki“ (fot. amat. p. Wł. Jarzyńskiego).



Warszawianki na wsi.

**Wyjdź-że, Zosiu, wyjdź przed ganek...**

Wyjdź-że, Zosiu, wyjdź przed ganek,  
 Bo już idzie maj-kochanek,  
 Maj-królewicz, maj!  
 Wyjdź, a spojrzij dookoła:  
 Wszystko dzwoni, śpiewa, woła —  
 Niebo, ziemia, gaj...  
 Wyjdź-że, Zosiu, wyjdź przed ganek,  
 Bo już idzie maj-kochanek, —  
 Powitanie daj  
 Serdeczne!  
 Powitanie daj!

Idzie łądem, wodą płynie,  
 W słońcu, tęczy, rozmarynie;  
 Zanim zielny łąn!  
 Idzie, stąpa łąk kobiercem,  
 Ludzką piersią dzwoni, sercem,  
 Na wesele! tan!  
 Idzie łądem, wodą płynie,  
 W słońcu, tęczy, rozmarynie,  
 Maj! wielmożny pan  
 Dziedziczny!  
 Maj! pan z panów, pan!



W bród (fot. amat. p. Zyg. Kossaka).

Idzie... idzie... aż się stania,  
 Tak mu pilno do kochania...  
 Idzie, wabi w głos!  
 Już wiatkiem ciepłym wionął,  
 Już po miedzach kwieciem sptonął!  
 Popił srebrnych ros!  
 I tak idzie, aż się stania,  
 Nawołując do kochania...  
 Już odpasał trzos  
 Złocisty!  
 Zorzą tkany trzos!

Już się odział w wonne ziele,  
 Brzęknął srebrem na kapełę.  
 — Takiego mi graj!  
 Już zagrały mu wej! wtorem:  
 Sprzypki polem, basy borem  
 Od dziesiątych staj!  
 Wyjdź-że, Zosiu, wyjdź na ganek,  
 Bo już czeka maj-kochanek,  
 Maj! pan młody! maj!  
 Rozśpiewny!  
 Maj! z kochaniem maj!

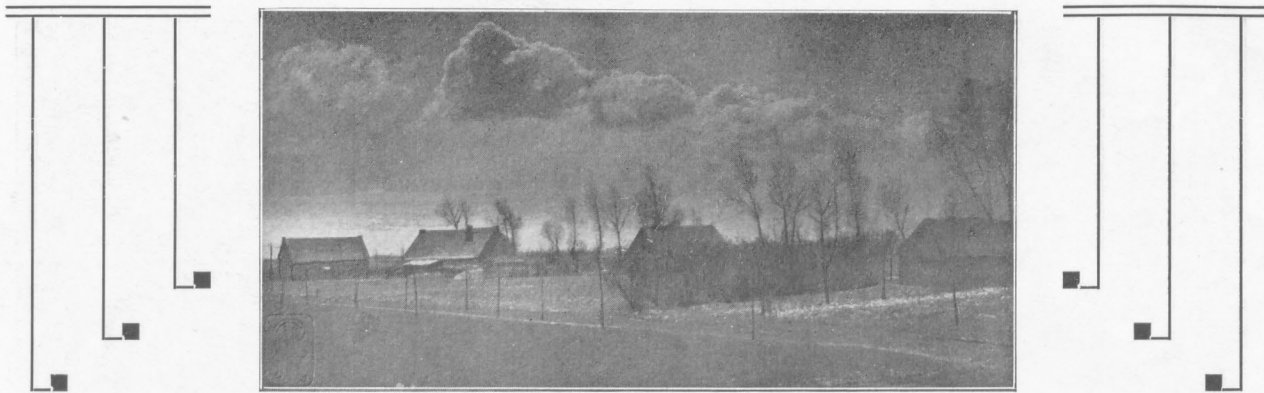
EL.



Odowiedziny (z teki pp. I. i J. Römerówien).



Łania pani E. B. (fot. amat. p. K. Dziekońskiego).



O księżycu. Widok wsi Kosmowa, w Poznańskim (fot. amat. p. Zofji Chełmickiej).

## NAD GOPŁEM.

„Einsteigen, — Thorn — Hohensalza — Gnesen — Posen!“

Siadajmy, kiedy nas tak grzecznie proszą. Grzecznie — niegrzecznie, jak kto chce; przypomina mi się francuskie „messieurs, en voiture, — s'il vous plaît“, które panom podróżnym pozostawia do woli, wsiąść do wagonu, lub nie. Zawsze tylko nie mogłem zrozumieć, dla czego grzeczny francuz zapomina do „mesdames“ się zwrócić, i muszę się, gdy kiedy znów będę w Paryżu, udać po wyjaśnienie do owego konduktora, który mnie już raz pouczył, o grzeczności paryskiej, gdy, mówiąc do niego, nie zamieściłem w zdaniu obligatorycznego „monsieur“. — „Pan jest obcym tutaj?“ — uśmiechnął się — „u nas się zawsze mówi „monsier, — monsieur!“ Ale co kraj, to obyczaj. Słuchamy więc komendy i siadamy.

Za nami pozostaje Toruń, Wisła z swym słynnym długim mostem, długim bo rzuconym przez dwa jej ramiona. Unoszę wspomnienie interwiew'u na tymże moście, nie wesołe, świadczące, że miasto samo przeważnie niemieckie, chociaż w okolicy polskość trzyma się dzielnie. Warto tu nawet dla pouczenia się, że, jeżeli nietylko, to w każdym razie najlepiej na wsi możemy się bronić — i zwyciężać, kiedy zajrzeć na dłużej. Lecz tym razem celem naszym Kujawy poznańskie.

Na moście więc wziąłem rozbrat z takim kwiatkiem kultury obcej. Gdy przypatrywałem się naszej królowej rzek, przybliżyła się do mnie jakaś panusia w średnich leciech, dążąca, zdaje się, na targ, a nie mogąca powstrzymać ciekawości niewieściej.

— Co pan tak wypatruje tam na wodzie? — zagadnęła mnie, po niemiecku.

W toku rozmowy jednak widzę z akcentu, że mam do czynienia z polką. Zaczynam więc po polsku, ale widzę, że mi niechętnie w tym języku

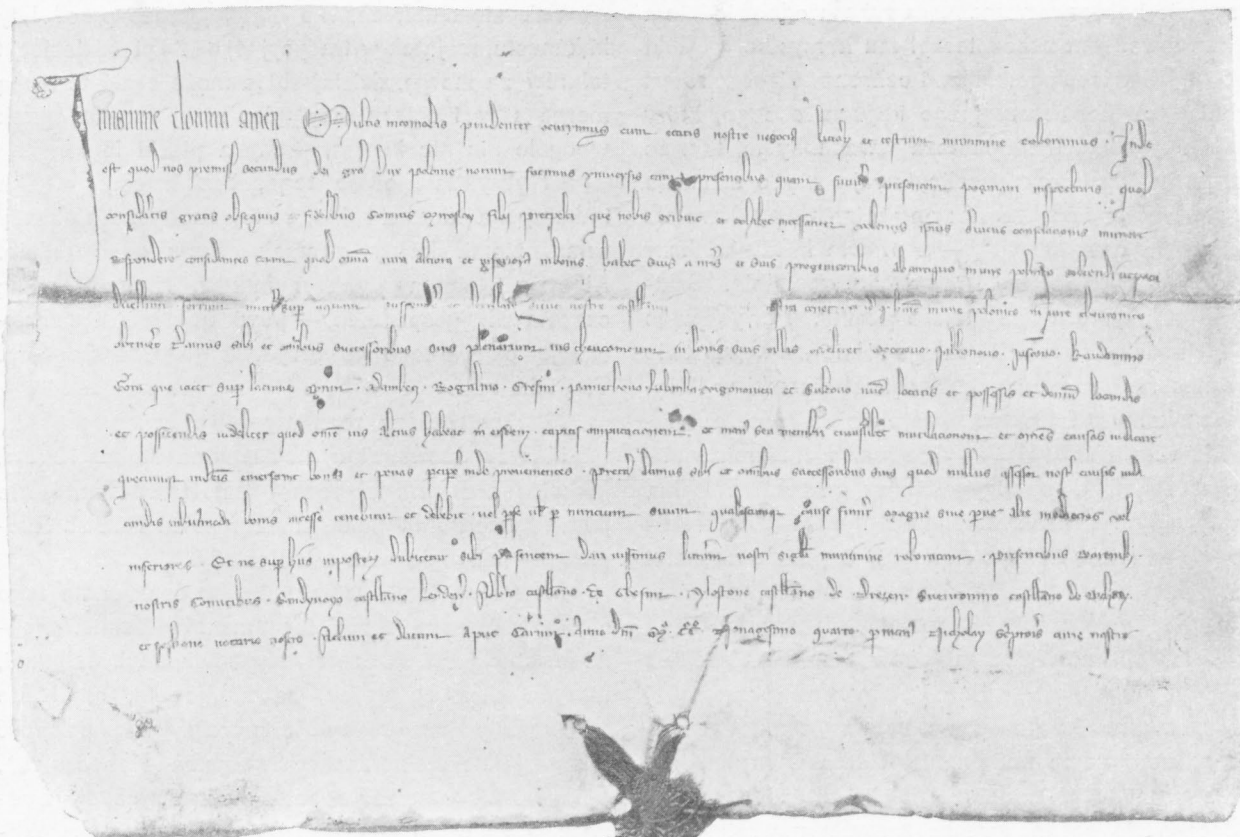
odpowiada, woląc łamać się z niemieckim. Pytam o przyczynę.

— A, bo widzi pan, — jak tutaj mówić po polsku, to człowieka tak nie „achtują“, — tylko pebel (Pöbel — motłoch) tak mówi!

Mocny Boże, więc to widać taka gwara podrzędna, dla helotów?

Na szczęście im dalej posuwamy się ku Kujawom, serce znowu rosnać zaczyna. Prawda, że, nazwy stacji niemieckie, urzędnicy wszyscy niemcy, lecz pomiędzy wsiadającymi podróżnymi przeważa stanowczo element polski, po stacjach tłoczy się ludek nasz, nie do zapoznania nawet tam, gdzie zrzucił sukmany, — kraśnieją barwne spódnice i chusty bab i dziewczuch, z pomiędzy nich wyłania się to ksiądz w sutannie, to zamaszysty szlachcic, to takie nasze polskie panię, które w każdym kroku i ruchu jest „z wielkiego domu“, ale nie z takiego, o jakim — mówi, niestety, autor tak ślicznych „Qui amant“, perły poezji polskiej.

W okolo, przez szyby wagonu, ukazują nam się, w pędzie pociągu, niby w migawkowych wycinkach kinematografu, ziemie, jakich w całej Polsce chyba w Hrubieszowskim lub na owej, mlekiem i miodem płynącej, Ukrainie najdziesz. Pszeniczne — buraczane pierwszej klasy. Dziwić się tu, że ceny dochodzą do 600-700 marek za móg pruski, połowę naszego, — przy mniejszych kompleksach i wyżej; komisja kolonizacyjna, w zaciętej walce z naszymi bankami parcelacyjnymi kładła już i po tysiąc marek na stół. Ale jeżeli móg buraków daje w szczęśliwych latach, iak mi wykazał rachunkami jeden z tamtejszych zawołanych gospodarzy, sto marek netto, to ceny te wcale jeszcze nie wydają się wygórowanymi i zdolne są jeszcze do zwyczajki. To też dokupić się tu ziemi nie tak łatwo, okolice przeważnie zasiedziały, każdy, dziękując Bogu za



Jeden z najstarszych dokumentów polskich. Akt nadawczy udzielony przez

Przemysława w 1924 roku przodkom rodziny Bnińskich (ze zbiorów hr. Ignacego Bnińskiego)

to, co mu dał, pracuje gorliwie na tym wdzięcznym warsztacie, służąc przy tem krajowi, jako kto może. Kto finansowo słabiej stał na nogach dzięki należącej tu już dziś, chwała Bogu, tylko do wspomnień niepowrotnych, lekomyślności i rozrzutności, ten dawniej już wyleciał z majątku; ta większość, która pozostała, to ludzie zasobni, zamożni, praktyczni, oszczędni. Własnej, niezaprzeczonej i wartej wszelkich pochwał zasłudze przyszła też w pomoc szczęśliwa konstelacja warunków gospodarczych w Poznańskiem. Dziwnie się to i niespodziewanie czasem składa i raz jeszcze stwierdziła się stara prawda, że nawet najuczestniejszy człowiek nie jest w stanie obliczyć, co przyniesie przyszłość najbliższa. Lat temu nie więcej, jak kilkanaście, słuchając wykładów prawniczych na uniwersytecie w Lipsku, dojeżdżałem często do pobliskiej Halli, gdzie liczna zawsze kolonja młodzieży polskiej słuchała słynnych prelekcji agro-



nomicznych i ekonomicznych. Zaprowadzono mnie kiedyś na wykład sławnego profesora Conrada; ten rozwijał wprost przestraszające obrazy przyszłości rolnictwa w Niemczech. Dowodził, że będzie się ono coraz mniej opłacać, wskazywał na przykład Anglii, gdzie ostatecznie ziemia nie dawała nawet 2% odsetek, jak to naocześnie wskazuje regulująca się na dochodzie z ziemi ogólna stopa procentowa od kapitałów w tym kraju, tak że zarzucono przeważnie zupełnie jej uprawę, jako nie opłacającą się, obracając całe ogromne przestrzenie na pastwiska. Najeżone cyframi brzmiało to strasznie pesymistycznie, rokując kontynentowi nielepszą, niedaleką przyszłość.

Z współczuciem wtedy my, przyszli adwokaci, lekarze, patrzyliśmy na naszych kolegów z agronomii, którzy poświęcili się fachowi tak niewdzięcznemu. Tymczasem człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi. Rząd niemiecki, opierający się z natury rzeczy najsilniej i najchętniej, jak każdy rząd, na ziemiaństwie, tak większem jak drobnem, z natury

wszędzie konserwatywnem, zawczasu odpowiedniemi prawodawstwem zabezpieczył mu korzystne warunki rozwoju finansowego. Cłami ochronnymi obwarował granice od konkurencyjnego importu obcego, który obniżałby ceny, niedopuszcza wwozu bydła, tak, że handlarze berlińscy przelicytowują się o smaczne mięso wołów poznańskich; ring spirytusowy dowolnie ustanawia cenę okowity — a prawie każdy większy majątek w Poznańskim ma dzisiaj gorzelnię. Szkicuję tutaj tylko najważniejsze punkty. Partycypując w tych szczęśliwych dla całego rolnictwa w państwie niemieckim warunkach, posiadzieli ziemski w Księstwie skorzystał jeszcze specjalnie na jednym, mianowicie na niebywałej zwyczajności wartości ziemi, w następstwie walki o nią pomiędzy groszem polskim, napływającym, jako oszczędności wychodźców, w milionach z „Saksów“ i z Ameryki, a przeznaczonemi na wykup ziemi polskiej olbrzymiemi sumami kolonizacji. Tych ostatnich rozlało się razem dotąd już przeszło czterysta milionów marek na nie tak wielkiej przecież przestrzeni Księstwa. A z drugiej strony marzeniem każdego robotnika, wychodzącego na zachód, gdzie mu przedsiębiorca wymyśla, ale umie ocenić i płaci dobrze polską siłę roboczą, czy jadącego za ocean, zawsze z myślą powrotu, było i jest jedno: zakupić u siebie kawał gruntu własnego, być samemu na nim gospodarzem. Te dwie potęgi wyrwały sobie każdą piędź ziemi tutaj.

Z wartością ziemi wzrastał równocześnie kredyt, tak potrzebny gospodarzowi na meljoracje i jako kapitał obrotowy; ten ostatni tem więcej przychodził na rękę, im intensywniej przekształcało się dotychczasowe gospodarstwo rolne na gospodarstwo raczej fabryczne, dające też odpowiednie odsetki.

Tak się stało, że, kto objął, jeszcze przed laty kilkunastu, majątek w tradycyjnej cenie pięćdziesięciu talarów za morgę, dzisiaj sobie może cenić tę samą morgę trzy i cztery razy tyle; niżej trzystu marek w ogóle nic nie kupisz, — chyba piaski lotne.

Przyczyniła się do tego, bez kwestji, wielka i umiejętna kultura rolna, umiejąca wyzyskać każdy szmat ziemi, każdy gatunek gruntu odpowiednio. Albowiem niema złych majątków, chyba tylko są czasem źli gospodarze, — powiada prezes poznańskiego centralnego towarzystwa gospodarczego, p. T. Jackowski.

Miło patrzeć na rezultaty tej pracy.

Mijamy Inowrocław, uważany za stolicę Kujaw, jakkolwiek sercem ich raczej jest Kruszwica, gdzie pod strzechą ongi cichą, siedząc sobie Piast z Rzepichą — nadgoplańskie sycił miody.

Inowrocławowi usuwa się, w dosłownem tego słowa znaczeniu, z pod fundamentów ziemia. Podminowany jest w części słynnymi ongi salinami, których niektóre szyby, zawałając się, omal nie sprowadziły już groźnej katastrofy. Ale polskość miasta, jakkolwiek przechrzczonego na „Hohensalza“, opiera się skutecznie robocie hakatystycznej. Ludność w znacznej większości polska. Interesa okolicznego ziemiaństwa skupiają się wokoło miejscowej spółki „Rolnika“, na którego czele stoi p. Leon Kankat, z rodziny, która wydała ongi najznakomitszego polskiego mówcę parlamentarnego, który potykał się na arenie parlamentarnej jeszcze z Bismarkiem.

Wysiadamy na małej stacyjce „Jamży“, zkąd najbliższy dojazd do jednego z obywatelskich domów polskich nad samem Gopłem, celu naszej podróży.

Droga wysadzona drzewkami owocowemi; poszanowanie cudzej własności weszło tu już w krew i nie czeka tych drzewek los, który je zbyt często spotyka w innych częściach naszej ojczyzny, wyrwanie, czy złamanie swawolną, karygodną ręką.

Obok drogi kolejka polna, ułatwiająca dowóz produktów do stacji.

Ale obejrzyjmy się jeszcze za Jamżą, bo ciekawy to przykład, jak sobie lud nasz radzi z germanizacją nazw miejscowych. Otóż tu dawne Janikowo przechrzczone na Amsee —



Pałac w Kościelcu, w Poznańskim, własność pp. Ponińskich.



Rzeszynek, dawna siedziba Amrogowiczów nad Gopłem.

(nad jeziorem) — lud zrobił z tego brzmiącą znów po polsku Jamzę.

Jedziemy. Ukazuje się oczom naszym Gopło. Na przestrzeń nie bylejakie to jeziorko, jak sobie to ludzie, którzy go niewidzieli nigdy, czasami wyobrażają. Gdy wiatr silny, ma bałwany, zdolne łódkę przewrócić. Ubywa go co roku, jak obliczano. Ale niewystraszcicie się. Tak, a raczej mniej, niż ubywa ziemi nad brzegami Bałtyku. Lecz to zmiany, znaczne dopiero po wiekach. Starczy go więc jeszcze chyba, aż pokąd glob nasz zamarnie w martwą twarz księżycy.

Szczałki Myszej Wieży stoją jeszcze. Owiła je legenda baśnią o Popielu. Nie zdzierałbym jej i nie krzyczcie na świętokradztwo, ale szukając prawdy historycznej, mającej zawsze pierwszeństwo przed mystem, uczynił to już Szajnocha. Dowodzi on, że nazwa myszy polega na nieporozumieniu, a raczej braku zrozumienia dawniejszych dziejopisów. Myszy — mures — to owi słynni najeźdźcy, zuchwali korsarze, łupieżcy i zdobywcy, z brzegów Skandynawji nawiedzający nawet najdalsze wybrzeża Europy, gdzie tylko dotrzeć mogły ich statki i łodzie.

Snać Wisłą i po jej dopływach dotarli też aż ku tym okolicom. Broniąc się rozpacznie, zamknięty

w swej wieży, ginie z ich ręki książę miejscowej ludności. Ztąd opowieść, przeszła do kronik, — niezrozumiana, przerobiona. Szajnocha wskazuje na analogię z innemi „myszemi“ wieżami, na przykład nad Renem z podobną legendą o biskupie Hattonie.

Ale chociaż prysnął czar dawnego podania, niemniej urok dziwny otacza te strony, gdzie dzieje mieszczą kolebkę naszego narodu.

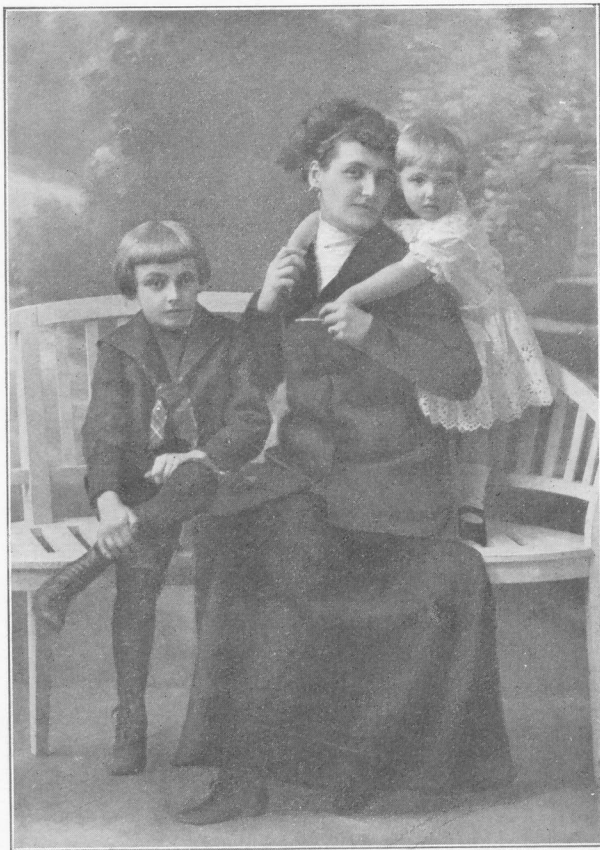
Oryginalnem jest położenie wielu majątków, dotykających do Gopła. Mają one figurę podłużnego kwadratu, który jedną z swych wąskich stron dopiera do jeziora. Śnać cennym był zawsze dostęp do wody i dzielono się nim na małe kawałki. Dawał on przecież też prawo do rybołówstwa. Obsiadły to centrum w koło, w bliższym lub dalszym dystansie, liczne dwory polskie, Działowskich, Brodnickich, hr. Dąbskich, Ponińskich. Dla mieszkających tuż nad jeziorem jako środek komunikacji łódka zastępuje powóz, czy samochód.

A zimą, na słynne bale w Inowrocławiu, zjeżdża się młodź z całego Poznańskiego po — hoże kujawianki.

LUDWIK ROMOCKI.



Typy kujawskie.



Pani Cecylja z hr. Grabowskich Teodorowa Jeske-Choińska  
z dziećmi: Morysiem i Tosią.

## W MAJOWE RANO.

1.

W majowe rano, w półrozwite trawy  
ubrylancone wokół cudną rosą...  
Promienie słońca ścielą się na stawy  
drzemiące w polu, jak mgławce opale...  
Wichry z nad strugi wierzbii poszept niosą  
w nieskończoności rozjaśnione dale...

Hej, a tak dobrze potem iść bez końca!...  
przy gruszy każdej na chwilę przysiądać,  
śmiać się radośnie do pobłyków słońca  
i różnobarwne w bukiet zbierać kwiaty,  
a do skowronków serca pieśnią gadać  
jak dzieci małe... jak dawniej... przed laty.

2.

W majowe rano... szliśmy w wichru gwarze  
przez traw łąkowych wzorzyste kobierce  
milcząc oboje... marło z szczęścia serce  
(O takiej chwili dotąd jeszcze marzę...)

Rwałaś złociste z nad strugi kaczęce,  
pieszcząc je lekko swoją białą dłonią...  
Dziś jego wspomnień cienie z wichrem gonią  
i poschłe leżą z kwiatów twoich wieńce...

Przyjdź... pójdzem znowu nad srebrzyste stawy  
w cudne, majowe, uśmiechnięte rano...  
niechaj się jawą śnienia moje staną...  
Przyjdź... szepczą cicho współrozwite trawy...

3.

W brzoźnym gajku szept płynnie radosny,  
wicher go w bezmiar rozjaśniony niesie,  
to hymn uwielbień, dla przecudnej wiosny...  
ptaszę na krągłych lip gałęzi śpiewa  
potem polecą do gniazda w bezkresie...  
w szmaragdzie liści wokół stoją drzewa...

Tkam znowu marzeń mych przędzę porwaną,  
idąc w bezbrzeże po przez traw kobierce...  
a takie cudne to majowe rano —  
i trawy szemrzą zbrylancone rosą,  
kołysząc szmerem moje, biedne serce...  
z nad strugi wichry poszept wierzbii niosą.

STANISŁAW LEONARD KOCIEMSKI.

## W IMIĘ KULTURY.

Ostatnimi czasy podniosły się głosy w kwestji  
szpecenia naszego kraju barbarzyńską archi-  
tekturą we wszystkich jej przejawach.

I istotnie czas już najwyższy zająć się gorącej  
tą epidemią pseudo-cywilizacji, szerzącą się jak  
zaraza w naszym kraju.

Choć są to rzeczy poniekąd już omawiane i choć  
może w naszych warunkach „rozdzieranie szat“  
i wszelkie „mocne“ słowa nie osiągną celu, uważam  
jednak, że „im więcej wodę mącić, tem szersze ro-  
zejdą się fale“, a więc mąćmy i... nie traćmy  
nadziei.

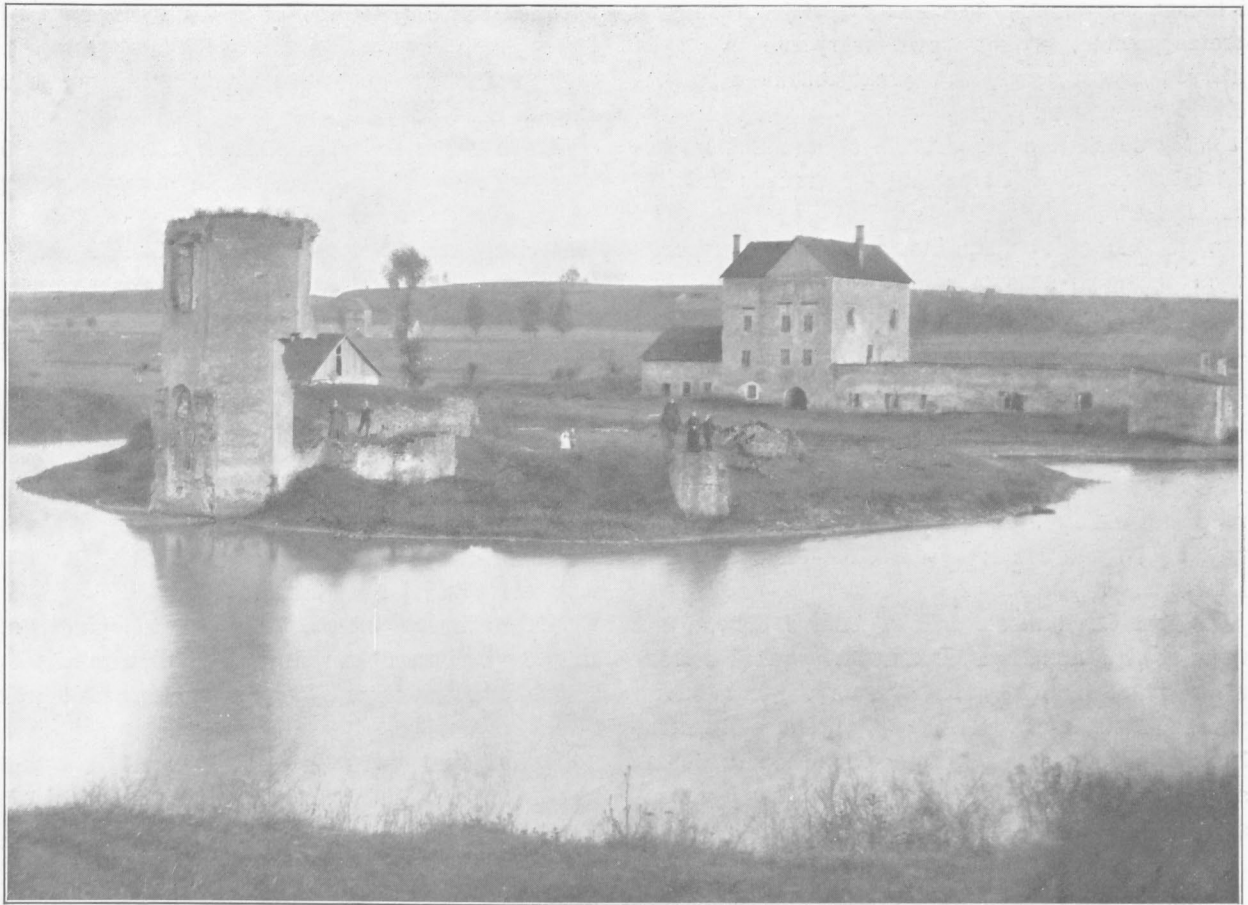
Jakkolwiek zło, które się dzieje dotyczy zarówno  
miast, jak i wsi, jednak pominę tutaj miasto, a zajmę  
się wyłącznie wsią, tembardziej, że jest ona więcej  
niż miasto oddana na pastwę barbarzyństwa i po-  
zbawiona kulturalnej opieki.

Wyraz tej „wsi polskiej“ w ostatnich czasach  
zmienił się ogromnie i zmienia nadal zarówno we-  
wnętrznie, jak i w zewnętrznej formie, tracąc z roku  
na rok przepiękny swój charakter.

Już ś. p. profesor Akademii Krakowskiej Jan  
Stanisławski zwykł był mawiać do uczniów swoich:  
„malujcie, panowie, wieś polską, bo wkrótce jej  
wcale nie będzie“.

I tak jest istotnie. Pomińmy już zarzucenie przez  
lud stroju swoistego, jak również wielu tradycji  
i zwyczajów, a zastanówmy się tylko nad archite-  
kturą wiejską doby obecnej, która poniekąd jest  
widomym znakiem, wyrazem duszy narodu.

Widzimy tutaj wbrew logicznemu prawu cywili-  
zacji już nie brak tej właśnie cywilizacji, a wprost  
pewien rodzaj barbarzyństwa i zwyrodnienia smaku,  
która jest objawem nietylko smutnym, ale i nieocze-  
kiwanym. Bo przecież lud nasz „od Piastów do  
Jagiellonów“ miał w sobie to właśnie nieświadome  
poczucie harmonii i że tak powiem „dobrego stylu“,



Ruiny zamku w Ćmielowie, w Opatowskim, dobrach ks. Druckiego-Lubeckiego.

czego dowodem jest cała architektura dawnej Polski niezmiernie bogata, swoista i dekoracyjnie piękna.

Dzisiaj spotykamy już tylko mizerne jej szczątki, gdzie niegdzie zabłąkane pośród coraz bardziej sztwinięcego oblicza wsi naszej. Wytwory architektury dzisiejszej nietylko, że nie odznaczają się swoją sztwinną i tuzinkową brzydota w strukturze i barwie, ale tworzą rażące oko i duszę, plamy wobec otaczającego je tła i pejzażu.

A pejzaż ten, pejzaż polski, ma swój wybitny i piękny charakter. Jest w nim jakaś szerokość i bogactwo, wieczna melancholja i słodycz, swoista, niewysłowiona poezja niedbałej, rozlewnej linii i szlachetnej szarości kolorów.

Spojrzymy tylko na wieś naszą złotą jesienią lub wczesną wiosną. Trudno wymarzyć zaiste bardziej doskonałej harmonii barw i tonów.

Szaro-płowe ścierniska, fioletowe role, rude łąki, szerokie plamy stert i dachów, to jedna symfonia tonów stłumionych, szarych, a niezmiernie pięknych. Na tem tle linie dawnych chat, budynków folwarcznych, krzyżów i kapliczek robiły wrażenie cząstki organicznej tegoż pejzażu, jak gdyby nie przez ludzi, a przez tę samą naturę stworzonej.

Nie jestem wielbicielem romantyzmu z epoki haltsztuków, unoszącego się z naiwnym liryzmem nad pochyloną chatą i dziurawą strzechą; rozumiem potrzeby kulturalne, ale niech nie tworzą one dziwolągów pretensjonalnych i niesmacznych.

Typ dawnej chaty tak piękny i harmonizujący z otoczeniem zaginął prawie doszczętnie, natomiast coraz częściej spotykać można, dziwaczne i sztwonne domki imitować mające rodzaj willi, kryte blachą i pomalowane w najbardziej przykre kolory. Jest w tem budownictwie nowoczesnym jakieś pretensjonalne dążenie do blichtru i niesmaczna chęć błyszczenia rodząca najdziksze i najohydniejsze pomysły. Wnętrze takiego domu odpowiada w zupełności zewnętrznemu jego wyglądowi i zamiast „dostojnej świetlicy“ zawiera banalne ubikacje zastawione tandetnymi meblami kupowanymi po jarmarkach. Z dawnych tradycji, niestety, zostały najgorsze: wieczny zaduch i brudne dzieciaki tarzające się po podłodze wespół z nierogacizną „przychowywaną“ nieraz pod „wspaniałą“ kanapą.

Najmniej stosunkowo zmieniły się dwory zapewne dla tego, że nie powstają, a giną, a natomiast zabudowania folwarczne, owe sławne polskie stodoły

i lamusy zamieniają się coraz częściej na budynki pretensjonalne, a koszarowo-fabryczne w stylu, których nawet względami praktycznymi usprawić nie można.

Równie smutno przedstawia się architektura kościelna, łącznie z budynkami do zarządu kościoła należąciami.

Słusznie a dowcipnie ktoś zauważył, że „pocziwym plebanom naszym zdaje się, iż głos modlitwy prędzej do niebios doleci z gotyckiego tumu, niż z drewnianego kościołka“, dodałbym tylko, że ci plebani nie są o tyle pocziwi, o ile szkodliwi, a ich „gotyckie“ pomysły najczęściej wołają o pomstę do nieba.

Przytem i tutaj zauważyć się daje pewna dążność do blichtru, do pompatycznego wyglądu parafji i jej upiększenia; dążność, niestety, spaczona i fałszywie pojęta.

Nieraz kosztem stosunkowo bardzo dużym, a li tylko w celu „upiększenia“ stawia się jakąś dzwonicę, przypominającą mocno koszary, jakąś bramę wjazdową z czerwonej cegły, która stoi potem latami, jak wyrzut sumienia dosłownie rumieniąc się za swego twórcę; śmieszna w swej pretensjonalności i smutna zarazem, jak intruz i jak tragi-farsa.

Gorzej jeszcze, gdy często zwala się starą architekturę w celu użytkowania swoich pomysłów zdobniczo-budowlanych lub szpeci się ją niemiłosiernie „nowoczesnymi“ upiększeniami.

A zapominają ci kapłani-budownicowicze, że nawet św. Hilary z Poitiers, w XIII rozdziale swej „Rzeczy o psalmach“ powiedział, iż lichy styl jest grzechem, co zastosować można również dobrze do stylu architektury. I „pocziwi plebani“, szepcząc

pacierze, grzeszą nieświadomie może, ale poważnie i szkodliwie. Prawdziwą również chorobą lat ostatnich jest stawianie krzyżów żelaznych na miejsce starych drewnianych.

Może żaden rodzaj architektury naszej nie jest, a raczej nie był tak różnorodnie bogaty i piękny, jak te właśnie krzyże „Męki Pańskie“ i ołtarzyki. W tych prostych liniach naiwnej, a szlachetnej ornamentyce jest poezja silna i żywiołowa, a zarazem rzetelna i polska. Przedewszystkiem jednak jest jakiś akord swojski, wybornie zlewający się z otoczeniem i pejzażem naszym.

Do niedawna trudno było sobie wyobrazić rozstajnych dróg bez takiej „Męki Pańskiej“ zczerniałej na powietrzu w ten nieskończenie szlachetny ton niemalowanego drzewa, a obwieszanej wianuszkami kwiatów polnych. Była w tem jakby synteza wsi polskiej i jej duszy.

Zdawaćby się mogło, że tego przynajmniej nie zniszczy barbarzyńska dłoń „ludu“ dlatego choćby, że nie wchodzi tu w grę względy taniości i praktyczności.

Tymczasem powstała istotna mania stawiania imponująco brzydkich krzyżów żelaznych, które nie- dość, że są sztywne i tuzinkowe w wykonaniu, a suche i bezduszne w samej logice materiału, lecz w dodatku najczęściej pomalowane bywają krzyżąciami kolorami.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach choroba architektury dzisiejszej, choć może nie we wszystkich stronach kraju występuje równie jaskrawo i znamienne.

To wszystko, co powiedziałem, wydawać się może niejednemu kwestją zbyt błachą wobec tylko innych bardziej realnych potrzeb kraju.

Tym jednak odpowiem, że „nie samym chlebem człowiek żyje“ i że pełny żołądek nie jest, a przynajmniej nie powinien być jedynym celem ludzkości, że wreszcie taka kultura nie jest zbytkiem, a poniekąd duszą społeczeństwa; nakoniec, że niewymaga bynajmniej nowych wkładów materialnych, a tylko użytkowania istniejących inaczej, trochę pracy, wpływów, wskazówek i przykładów.

A więc, niech ci wszyscy, którzy na tej polskiej wsi mają jakiegokolwiek wpływy, a w pierwszym rzędzie kapłani nasi, starają się zapobiegać złemu dobrym przykładem i namową, pamiętając, że jest to również misją kulturalną i moralną nie mniej ważną od innych.



Krzyż w Maciejowickim lesie.





Zapole, w Sieradzkim, własność p. Fr. Kołodziejskiego.



Dębołęka, w Sieradzkim, własność p. Michała Białeckiego.

## Z SIERADZKIEJ ZIEMI.

(Ciąg dalszy.)

Złoczew słynie dzisiaj z pięknego przy wielkim dworze 4-włókowego ogrodu założonego przez obecnego dziedzica, który dziwnym zbiegiem okoliczności leży w części w tych miejscach, gdzie ongi Ruszkowscy słynną w pierwszej połowie XVII w. założyli winnicę, wspomnianą w ówczesnych dokumentach działowych.

Dwór złoczewski postawili hr. Tarnowscy, do



Dwór w Dąbrowie-Wielkiej, w Sieradzkim, własność p. Tadeusza Puławskiego.



Dwór w Nowej-Wsi, w Sieradzkim, własność p. Zygmunta Rembowskiego.

których od Błęszyńskich na początku zeszłego wieku dobra te przeszły.

Zwróćmy się jednak z powrotem ku miastu Sieradzowi, a więc ku północy i zrobmy krótki przegląd okolicy przeciętej tutaj szosą sieradzko-złoczewską.

Lasy złoczewskie mają za sąsiada majątek Nowa-Wieś, gniazdo Korwinów-Rembowskich, dziedziczących tutaj od pierwszej połowy zeszłego wieku, gdy w wieku XVIII-ym dziedziczyli tu Kąsinowscy. Nowa-Wieś, niegdyś główne dominium kilku folwarków, dzisiaj sama w sobie należy do p. Zygmunta Rembowskiego, młodego ziemianina, który wkłada dużo energii i pracy, by rodzinne gniazdo utrzymać, podnieść i ozdobić, drenując nizkie z natury grunta i zaprowadzając wszelkie nowoczesne ulepszenia.

Posuwając się szosą ku Sieradzowi trafiamy dalej folwark i wieś Zapole własność p. Fr. Kołodziejskiego, jednego z lepszych gospodarzy tutejszej okolicy.

Folwark nieduży, bo 12-włókowy, lecz cały wydrenowany, w pszennej przeważnie glebie, gospodarstwo postępowe, a gospodarz zapobiegliwy i pracowity.

Na zachód od Zapola leży Brzeźnio, wieś kościelna i stolica gminy tego nazwiska, ongi dziedzictwo Norbertanek z Imbramowic, w r. 1614<sup>1)</sup> w ręku Zygmunta Zapolskiego późniejszego kasztelana wieluńskiego, w połowie XVIII w. przechodzi w ręce Błęszyńskich, z których Kazimierz, chorąży sieradzki w r. 1755 wraz z żoną swą Teresą Struś funduje tu dzisiejszy kościół murowany, pod wezwaniem św. Idziego, gdzie ma pomnik przed wielkim ołtarzem. Po Błęszyńskich dziedziczą tutaj

Olszowscy z Niechmirowa, Charzyński i spółka parcelacyjna żydowska, która rozprzedaje dominium to w ręce okolicznych włościan. W końcu XIX w. przybudowano do kościoła dwie nawy staraniem miejscowego proboszcza ks. Kobylińskiego, a sumptem parafian. Na cmentarzu widnieje zdala kaplica grobowa Kobierzyckich. Jest tu szkoła, urząd gminny i towarzystwo poż.-oszczędnościowe, założone przez niedawno zmarłego ks. proboszcza Gumowskiego.

Na zachód od Brzeźnia spotykamy zamożną wieś Ostrów, dziedziczną od kilku pokoleń, własność Lubiczów Domaniewskich, ongi w r. 1622<sup>1)</sup> dziedzictwo wraz z Chmielówką i Rydzowem ur. Heleny ze Stawu, niegdyś ur. Jana Ostrowskiego żony i ur. Zofji z Łysoskorni, niegdyś ur. Mikołaja Ostrowskiego żony, a dalej jeszcze ku zachodowi rozparcelowane dobra Starce, własność w zeszłym wieku Szyslerów, dzisiaj Lilpopów, słynne dawniej z postępowego gospodarstwa i już wówczas wydrenowane.

Długie kolonje przedzielają Zapole od lasów dębołęckich p. sędziego Michała Białeckiego, które przebywszy barwny widok, zachwyci oko nasze. Oto na wzgórzu, wśród pięknej zieleni błyszczą zdala dwór szlachecki, a u podnóża jego wije się zielona wstęga łąk nad rzeczką Żeglenną porośniętych bujną trawą, bo przez obecnego właściciela do porządku doprowadzonych i zirygowanych. W Dębołęce piękne zabudowania folwarczne, drogi wysadzone drzewami, pola wydrenowane, gospodarstwo prowadzone postępowo i samemu zarządzane, zagaje pięknie prowadzone — wszystko to daje nam miły obraz spokojnego rozwoju i pewnego jutra.

<sup>1)</sup> Sir. Castr. Inscip. K. 119 f. 100.

<sup>1)</sup> Sir. Castr. Inscip. K. 129 f. 111.



Baltazar Poraż-Pstrokoński, kanonik gniezn. — Stanisław Pstrokoński, biskup chełmski. — Marcin Walewski, fund. kościoła w Stronsku. Faustyna z Wężyków Kobierzycycka. — Łukasz Kobierzycycki, marszałek sieradzki. — Helena z Wężyków Kobierzycycka. — Michał Kobierzycycki. Antonina z Walewskich Bolesławowa Kobierzycycka. — Adam Walewski, zginął pod Rajgrodem w r. 1831. — Stronko, widok na rz. Wartę.

Dębołęka w XVI w. część dóbr Norbertanek z Imbramowic, później Pobogów-Ruszkowskich, w pierwszej połowie zeszłego wieku własność pułkownika Murzynowskiego, od którego drogą kupna przeszła do domu Jelitów Białeckich.

Gdybyśmy zwrócili się na zachód w stronę granicy Księstwa Poznańskiego i minęli zagaje dóbr Dębołęka i Charłupia-Wielka, natrafilibyśmy na stare gniazdo szlacheckie. Dojeżdżając drogą od Sieradza do Kliczkowa Wielkiego, dzisiejszej rezydencji p. Antoniego Saryusza-Tarnowskiego, ogarnia nas uczucie gdzieindziej niewywoływane — to wieś prastara, ze wszystkimi jej czary i przywary, szereg mostów i młynik, nad spokojnym stawem drzemiące drzewa, dwór z filarami, widomy świadek czasów Ks. Warszawskiego i stare zabudowania folwarczne, cóż dopiero, gdy podążymy dalej do Kliczkowa-małego, owej pierwotnej siedziby tego rodu. Droga wiję się, gdyby wąz, kręto wśród lasków i pól zdobnych w stare dęby i grusze polne, co dumają samotnie wśród miedzy i doprowadza w końcu do ładnej wioski i na kopcu otoczonym wodą stojącego dworu, rezydencji matki właściciela. Dwór względnie nowy psuje nam efekt, zato kościół mo-

drzewiowy z ławką kolatorską przed wielkim ołtarzem i tuż obok pomnikiem z marmuru kasztelana konarsko-sieradz., Sebastjana Tarnowskiego z drugiej

połowy XVI-go stulecia wynagrodzi nasze trudy, bo choć z konterfektu da poznać marsową postać dworzanina i towarzysza trudów króla Zygmunta Augusta i Stefana Batoro, oraz jego małżonki Anny z Dobruchowa 1-o voto kasztelanowej Gryf Wiktorowskiej, od której w końcu XVI-go stulecia Kliczków przeszedł w dom

Saryuszów-Tarnowskich i dotąd bez przerwy w ich rękę pozostaje, mając w panu Antonim dzielnego gospodarza, co zapewni nadal ten majątek starożytnemu rodowi, a sam znany jest z prac obywatelskich w swej okolicy i gubernji kaliskiej.

Powróćmy jednak w okolice poprzednio opisane, bo pominąć nie możemy kilku posiadłości leżących między wspomnianymi dobrami. Najbliżej Sieradza w równej odległości z Bogumiłowem i dotykając zagajami szosy złoczewskiej, leży wieś Dąbrówka-sieradzka 30-to kilka-włókowa posiadłość p. Stefana Strzeszewskiego, nabyta przez jego ojca, niegdyś majątek matki Teodora Morawskiego, historyka, który stąd uszedł zagranicę; położona nad rzeczką Żeglinną, ma stary dwór. ocieniony



Kuśnia, w Sieradzkim, własność p. M. Białeckiego z Dębołęki.



Sokolów, w Sieradzkim, własność p. Haliny z Wężyków Widawskich Sulerzyckiej.



Kliczków Wielki w Sieradzkim, własność p. Antoniego Saryusza-Tarnowskiego.

prastaremi drzewami i dobre budynki folwarczne. W w. XVI i XVII posiadłość rodu Wężyków.

Ku południowi graniczy Dąbrówka z Dąbrówką Wielką, wsią kościelną, rodową posiadłością Pobogów-Dąbrowskich do połowy XVII stulecia, później Wężyków-Osińskich, regimentarza konfederacji barskiej Albina Lenartowicza i jego dzieci, zaś od r. 1816 do ósmego dziesiątka zeszłego wieku Korabitów-Kobierzyckich, z których Łukasz, marszałek sieradzki postawił dodzisiaj stojący dwór, jednego typu z dworem w Kliczkowie Wielkim. Dzisiaj własność radcy, Tadeusza Puławskiego, młodego i pracowitego gospodarza, co nie szczędzi nakładów i doprowadził gospodarstwo do wysokiej kultury, a wśród włościan zyskał miłość i uznanie, przykładając się czynnie do wybudowania nowej plebanji i przywrócenia parafji, dotąd filjalnej i proboszcza na miejscu.

Ku wschodowi graniczy z Dąbrówką wieś Sokółów, do połowy XIX w. w części królewsczyzna, w części Pobogów-Lenartowiczów dziedziczna, a w latach pięćdziesiątych skupiona przez Władysława z Widawy Wężyka w jednym ręku, który tu postawił wygodny dwór i zało-

żył piękny owocowy ogród, przeszła w końcu przeszłego wieku do rąk Michała Białeckiego, który dobra te 60-włókowe w części skolonizował, w części rozprzedał. Obecnie dwór z ogrodem i kilku morgami pola nabyła Helena z Wężyków Widawskich Sulierzyska, jako owej rodziny dworzec.

Ku zachodowi z Dąbrówką graniczy wieś Kuźnia, dzisiaj sparcelowana, prócz 8-miu włók nabytych przez p. Białeckiego z Dębołęki wraz z dworem, ongi Pomianów-Kobierzyckich, Walewskich i Strzeleckich. Z lasami dąbrowskimi graniczy ku południo-zachodowi wieś Barczew, dzisiaj własność Mendla Glicen-

stejna, w zeszłym wieku Nowickich, przedtem Porajów z Burzenina Pstrokońskich, a w wieku XV gniazdo rodu Barczewskich. Opodał pięknego dworu,

zbudowanego w zeszłym wieku przez Stefana Nowickiego, widnieje z końca XVI w. pochodząca figura z Matką Boską u szczytu, wedle legendy, na miejscu, w pojedynku poległych dwóch braci rodzonych postawiona, identyczna z taką w wsi Rychłocicach, choć więcej wysmukłej budowy.

Piękny park zaniedbany, czeka, by lubownik przyrody wykupił ten szmat ziemi z ręki niepowołanej.

(c. d. n.)

JÓZEF KOBIERZYCKI.



Ostrów, w Sieradzkim, własność pp. Lubiczów-Domaniewskich.



Starce, w Sieradzkim, własność pp. Lilipów.



„Witajcie“ (fot. am. p. Z. Dąbbskiej z Kąkiny Wielkiej, w Miechowskiem).

## O MAŚCI KOŃSKIEJ.

PRZEZ WINCENTEGO POLA.

Nie wszystkim może wiadomo, że śpiewak „Pieśni o ziemi naszej“ i twórca „Mohorta“ był zamiłowanym hippologiem. Dajemy tu urywek z broszury, będącej niejako komentarzem do opisu stada w „Mohorcie“.

Przyp. Red.

Od wieków uważano sierść gniadą, która środek w maściach wszystkich trzyma, za najpierszą i najlepszą; jakoż, gdzie się konie starym hodują, tam przeważa zawsze maść gniada, która z jednej strony w skaro-gniadej sierści przechodzi w maść wroną, z drugiej strony w cisawą. W sierści tej rozróżniają następujące odmiany: jasno-gniadą, złotą, skarogniadą, gniado-jabłkowitą, gniado-pleśniwą. Z tych za najgorszą mają znawcy jasno-gniadą, zwłaszcza, podpałałą, tj. gdy noga, nozdrze i brzuch przypłowsze bywają — znak to niedobry. Najlepszy złoto-gniady, zwłaszcza, gdy grzywa, ogon, nogi i uszy coraz bardziej czernieją. Gniado-jabłkowity bywa pilny i dobry, mocny, czasami w uporze, przy najeżdżaniu lub w przygodzie do złamania trudny; zawsze jednak między gniadami ceniony i ledwo, że nie lepszy. Gniado-pleśniwy jest do wszystkiego sposobny a zwłaszcza żołnierzowi bardzo potrzebny, im ciemniejszy tem lepszy. Skaro-gniady

bywa wytrwały, silny i rozumny. Maść gniada w powszechności ręką i miarą chodzić lubi. Łagodnością i głaskaniem do prowadzenia lepsza niż ostrością, pamięta długo to, czego się nauczy — stąd krzywdy jej robić nie trzeba. Z gniadych najweselszy złoty, najłagodniejszy jasno-gniady, skaro-gniady gdy utarty, bezpieczny, jabłkowity nie do zdarcia. Maść to bardzo lubiana, trwała i robocza. Nadzwyczajnych rzeczy nie miewa albo tylko w jabłkowej i w złotej odmianie, ale wszystko ma, czego potrzeba; bo gniady chowa się łatwo, łatwo go dobrać, łatwo najeździć i do wszystkiego użyć można.

Konie maści kasztanowatej nie stanowiły właściwie dawniej osobnej sierści, ale jedne policzono do gniadych, drugie do cisawych, i tu już wchodziły także konie izabelowate i wszystkie bułane.

W ubarwieniu sierści, stąd są niecierpliwie i nie-miłe w wędzidle, niespokojne do siadania, łechczywe w karku, w łytce i w ognie. Dzielną kasztan potrzebuje bardzo spokojnej ręki, dobrego jeźdźcy w siedzeniu, małego ciężaru zrazu kiedy się bierze do wozu. Potrzebuje zawsze jednej ręki, raz źle użyty lub znarowiony, długiego potrzebuje czasu żeby się poprawił i tylko w dobrej ręku się poprawi. Gniew lub dzielność jeźdźcy lub woźnicy nie udziela się żadnemu koniowi tak bardzo jak kasztanowatemu. Kiedy inni od gniewu i chłoty karnieją, to on się gniewem człowieka zapala, hardziej coraz bardziej i szalone robi rzeczy; stąd tylko swojemu siadać na kasztana, kiedy dzielny i wielkiego rodu, a i ten nigdy znać nie będzie co mu zrobić może.

Jeżeli kasztan jest jabłkowity bywa twardszy, bo nie tyle zły i łechczywy, a zawsze lepszy czem ciemniejszy i w sierści i w jabłkach; podobnie jak rudowacizna w tej sierści, w grzywie i w ognie lub w pojedynczych dłuższych rudych włosach, przerzucających się po całej skórze kasztanowatej, należy już do najgorszych znaków w tej maści.

Po kasztanowatej idzie sierść cisawa. Konie tej maści są w ogólności tego samego przyrodzenia, co kasztanowate. Czerniejsza cisowacizna, tem złośliwsza i niepewniejsza; trudne do użycia, bo im się wielkiej dzielności zachciewa. Jeśli co dobrego czynią, to tylko z własnej woli i fantazji, niestałe i narowiste, trudzą się też prędko; a czego się nauczą zapominają rychło, Do biegu bywają skore i biegu żartkiego, ale nie na długą metę. W tej maści bywają takie odmiany: jasno-cisawy mało że nie czerwony, ten ze wszystkich cisawych złośliwy największy i prawie nigdy nie pójdzie ręką; bo gdy dzielniejszy, pełen narowu, gdy podlejszy, kaleczeje, zawsze niedobry dla jeźdźcy i ludzi co koło niego chodzą. Dajej cisawy o śniadej grzywie, takimże ognie i ciemnej prędze przez krzyż: ten natury do-



„Violetta”, zwyciężczyni 35-wiorstowego biegu dystansowego, wł. p. Marji Ośniałowskiej.

P. Zofja Kossakówna, konno.

Trójka (z teki pp. I. i J. Römerówien).

P. Helena Froelichowa, konno.

brej, wytrwały i już pracowitszy, gdy się z jeźdźcem zna. Trzeci bywa ciemno-cisawy, a ku temu z ciemną pręgą przez krzyż i ciemno-jabłkowity. Sierść taka należy już do osobliwości i miewa wielkie przymioty. Na takim to koniu dowodził król Jan pod Wiedniem — zwał się „Pałasz”. Czwartym w końcu bywa cisawo-pleśniwy, który tem lepszy czem się więcej białego włosu po cisawej sierści przerzuca: taki koń trwały, dobry i bezpieczny. Jak już samo mówi przysłowie: „Cisawo-pleśniwy, rycerzom szczęśliwy”.

Maść izabelowata rzadka gdy czysta, a w koniu dzielnym wielkiej zalety. Osobne też stada chowano tej maści, aby ją utrzymać w jednej mierze i czystości.

Konie tej sierści bywają wielkiej duszy użyte pod wierzch, wielkiej wspaniałości kiedy w cugu idą — jeden spoziera na drugiego i górną się niesie; narów tu nie znany, karać się nie dadzą, pochlebiać im trzeba, bo się znają na sobie. Dzielnosc w nich

Amazonka (z teki p. Aleksandrowej z hr. Miączyńskich Kobylańskiej z Janowic nad Dunajcem w Galicji).

tym na wyrostka, gdyby na kucu siedział, bo go sięgnie zadem przez drugiego konia, albo nakryje przodem. Izabelowaty zna się na rzędzie, na szorze i okazji: czem szor i rząd bogatszy, czem większa okazja, tem górnij się niesie; zawsze dopisze gdy trzeba, w największej wrzawie i natłoku spokojny i wspaniały; odważny, ale nie junak; w kalwakacie czy w boju jeden, lubi łakocie, potrzebuje pieszczoty, lubi muzykę i najłatwiej go się ujeździ gdy mu przygrywają, ale rozumnej potrzebuje ręki, a gdy pryskać zacznie, to już źle.

Mniej nawet godne konie w tej sierści mają podobne zalety, stąd lubią w wojsku wachmistrze

a przy stadach stadniczowie jeździć na izabelkach. Bułana sierć w powszechności ani wielkich wad ani wielkich zalet nie ma; często miękkiego ścierwa, to też prędko spada i prędko się poprawia w ścierwie.

Bułany dobry do orczyka, gdy ma szerokie czoło, szerokie i równo między oszyma, a jest rozpartego zadu; dobry także na podjezdka, bo ostrożnie koło chartów idzie, zapala się za zwierzem, a czujny gdy na poszczuciu i stanowisku stoi; w szeregi zaś karny. Bułany tem gorszy czem jaśniejszy, zwłaszcza jeżeli ma rybnie lub wilczate oko, jeżeli grzywa i ogon jednej maści z felem. Do piękniejszych odmian należą bułanki lśniaco-masłowate, z białymi jak śnieg grzywami i ogonami; te bywają bardzo łagodne, pojętne, wesołe, bez złości i narowu; stąd też wszadzano na nie wyrostki i niewiasty, bo jak się chodów i zwrotów wyuczają, i bez wędzidla i bez wprawnej ręki, na cmoknienie lub znak robią wszystko karnie i względnie, choć jeździć temu nie praw.

Więcej jeszcze cenioną odmianą jest bułany o czarnej grzywie i czarnym ogonie, a gdyby do tego przyszyły uszka jak u lisa czarno postrzyżone, czarne nogi i chrapy, ciemna pręga przez krzyż i ciemne lub czarne jabłka po zadzie — to już nie mieć go nawet za bułanka, bo dzielniejszych koni w żadnej maści nie bywa; ale bardzo rzadko się zdarza, żeby się te wszystkie dobre znaki w jednym koniu znalazły; częściej ze pojedynczo.

Bułano-jabłkowity, jakieby jabłka nie były, bywa zawsze trwałe, pracowite, cierpliwe, ale rzadko skory, częściej tępy i małego pojęcia.

Sierść siwa bardzo chwalona w powszechności, jak już to samo mówi przysłowie: „Kto nie miał siwego, ten nie miał żadnego“.

Siwy tem lepszy czem ciemniejszy, bo więcej krwi miewa, a następujące odmiany rozróżniają w tej maści: siwo-jabłkowitą, prese białą, siwo-gorczyzkowatą, mrozowatą, dropiatą, i w końcu szpakowatą.

Siwo-jabłkowity najlepszy, zwłaszcza, jeżeli jabłka w czarne lub w niebieskie biją i są foremne a niezbyt wielkie i zad osypują. Konie takie bywają

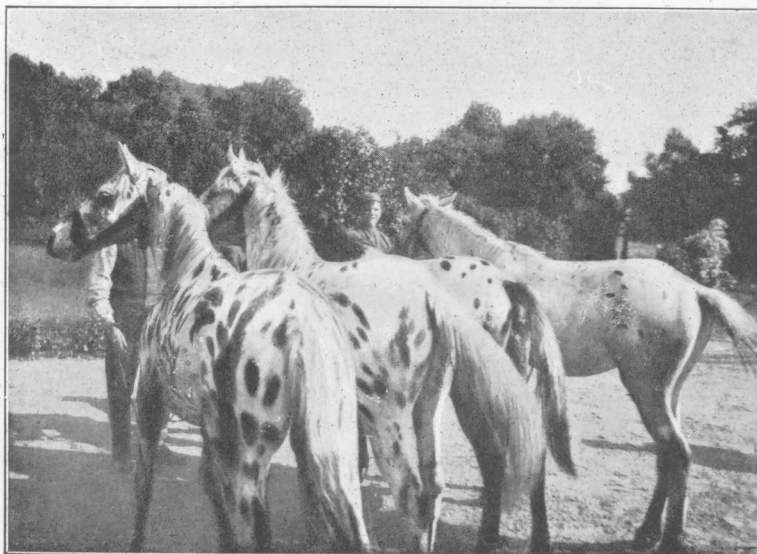
wytrwałe, drożne, robocze i bezpieczne. Koń prese biały, co z wiekiem nie chwyta tataraki, białej lub różowej skóry i białego rodu bywa — jest spojrzenia dziwnie pięknego, wspaniały i do izabelowatych z natury podobny. Maść to monarsza ale dziwnie delikatna, potrzebuje ciepła i wielkiego starania, podległa chromotom i różnym chorobom; stąd tylko w najdzielniejszych koniach i w wielkich stajniach poszukiwana, ale dla szlachcica i żołnierza niesposobna, jak już samo mówi przysłowie: „Biały cały, albo wszystek dobry i chrobry, albo wszystek pies“.

Gdy zaś biały miał skórę czarną i czarny róg — to nietylko w tej maści nie bywa dzielniejszych koni, ale mało w której; bo takie konie są wytrwałe, z wiekiem przybywa im dzielności; w gorącym harcu, czem dłużej trwa, tem większego nabierają ognia, płatami oblatuje z nich piana i czarna skóra wychodzi na wierzch, tak iż biały poszedł do harcu a sino-żelazny wychodzi z niego. Konie o czarnej skórze wielkiej są dzielności ale bardzo rzadkie.

Siwo-gorczyzkowate konie bywają znowu trojakiej odmiany: z czarną gorczyzką i te bywają dobre; z czerwoną gorczyzką mniej piękne i nie tyle cenione, zwłaszcza jeżeli się takowa przerzuca po nozdrzach i chrapach, znamionuje to hardość, niepotrzebną podniosłość i krnąbrność w koniu; ale jeżeli się zdarzy jak gdyby grubym bobem osypany koń z rzadka, gdyby nadto jeszcze miał także znaki na pęcinach, jak od pęta, toż na kolanach pręgi, a po sobie znaki jak gdyby szramy od cięcia — to już wielki ród znamionuje i w lada koniu się nie znajdzie: choćby był nie bardzo urodziwy, takiego chowaj, bo wszystkie chody robi w miejscu i nie tylko na wolnym placu ale w klatce stojąc.

Sierść mrozowata, to jest gdy wróna szerść z białą się pomiesza, ale gdy są w czystości obok siebie — dobry to znak, zwłaszcza, gdy głowa, uszy, ogon i grzywa są czarne: nazywają takiego murzynkiem. Koń taki nigdy złym nie bywa, ale jest rzadki.

Drapiatą maść zdaje się najmniej cenioną w siwej



Czwórka „tarantów“ (z teki p. J. Kulczyckiej z Monasterzysk na Ukrainie).



sierści, zwłaszcza jeżeli drop ma żółte, złote lub czerwone oko: taki bywa mdły i słaby, dziki i narowisty. Lepszy gdy ma oko czarne, a najlepszy z dropiatych ten co jest jabłkowity; w powszechności jednakowoż nie mają dropie wielkiej famy.

Szpakowata maść miła na oko ale nie wielkiej cnoty, jak już sama mówi przypowieść: „Nad siwego w świecie nie ma, szpaczek chwyci, lecz wstrzyma“.

Szpak póki młody, dzielny — ale z laty, w miarę jak bieleje, wołowacieje i nikczemnieje. Lektorób, wielkiego potrzebuje oka i pilnego starania, a lada czem w niwecz się obraca.

Maść w końcu wrona niewielkich jest zalet, jakoż u nas nie bardzo lubiona: kare konie nie mają miłości do siebie, a czego człek nie kocha tego i chować nia powinien.

Kary zimny, wołowaty; trwały wprawdzie, ale z tysiąca jeden dzielny i wesoły, chyba żeby miał foremną łysinkę i był białonóżka na wszystkie cztery.

Z karych najlepszy wrony, gorszy myszaty, a najgorszy popielaty, i tem gorszy czem jaśniejszy. Pręga przez grzbiet i ciemniejsze nogi poprawiają trochę rzecz w tych odmianach, zawsze jednakowoż uważany jest myszaty za narowistego a popielaty

za mdłego. Myszaty, jeżeli dzielny, nabywa łatwo wady ogona; jeżeli tępy, nie można z niego zdjąć bata.

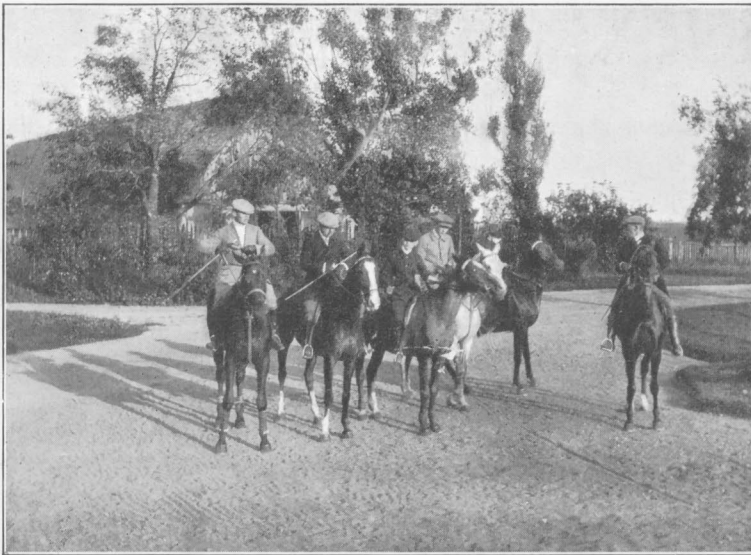
Ze wszystkich wronych najlepszy ten co kawczej maści bywa, zwłaszcza jeżeli jest lekko oprószony swym włosem.

Karego nie mają wprawdzie za nieszczęśliwego konia, a jednak jest wojskowa przypowieść: „Na wronym nie jedź do boju, a gdy cię spieszą — nie siadaj na kasztana“.

Tyletey różnych maściach koni według tradycyjnej hippiki. Co się tu o znaczeniu

każdej maści w powszechności rzekło, ma się rozumieć o każdej, jeżeli jest bez żadnych innych odmian i znaków; jeżeli zaś przybývają nagłówne, nożne i felowe odmiany i znaki, w sierści i skórze — zmienia to znacznie naturę konia; bo te znaki są, według zdania znawców, wyższego znaczenia i znamionują jeszcze inną rzecz i własności w koniu obok maści.

Z nagłówkowych znaków idzie naprzód łysina. Łysina podługowata, która brwi znaku nie dotyka a nie kończy się nad nozdrzami, ale wązko na chrapy przechodzi, dobrze świadczy o koniu; również podobna strzałka, która piórami niby na czoło przypada a grotem ku chrapom, znamionuje rycerskiego konia. Łysina szeroka, która oczu i brwi sięga, znak to w koniu gnuśności ducha



Przejażdżka (z teki hr. Augusta Łosia z Brochocic, w Płockiem).



Ks. Bolesław Połubiński z Lipina na „Blackrose“.

„Mascotta“, hunterka, własność p. W. Śliwińskiego z Kotlasu, na Ukrainie.

P. K. Barylski.

i lenistwa ciała, ale zarazem długiego żywota. Koń białej mordy i taki chrap — znak głupstwa i miękkości: taki bywa niepowodny i prędko szwankuje.

Gwiazdka foremna nie wielka a jasna i srebrnego włosa na czole, jest znakiem dobrej natury w koniu wielkiego serca i wielkiej cnoty — zwłaszcza gdy się z taką odmianą dobry znak nożny łączy, to o takim koniu najlepiej sobie wróżyć można, ale w połączeniu ze złemi nożnymi znakami, mało co i jasna gwiazda poprawi.

Gwiazdka i chrapka biała źle znaczy: koń taki miły i łagodny bywa, ale przypadkom podległy.

Famy gwiazdka bez innych odmian jest znakiem wesołości w koniu i czystego dowcipu, a im foremniejsza tem większego.

Przystępując do tłumaczenia nożnych znaków, poczynamy od nazwania każdej nogi.

Przednia prawa noga zwie się „wyskoczną“, bo koń ujeżdżony wyskakuje tą nogą przodem gdy z kopyta ruszy.

Lewa przednia noga zwie się „grzebną“, bo tą nogą wygrzebuje sobie koń w stepach paszę z pod śniegu.

Prawa zadnia noga zwie się „włoczną“, bo około niej ciągnie się włocznia w szeregu czy w stadzie.

Lewa w końcu zadnia zowie się „siadaną“ bo z tej strony wsiada się na konia i od niej przerzuca się nogę. Cały też lewy pośc konia zwie się „wsiadany“.

„Po siadanej stronie“ leży moc i złość konia, na siadaną stronę bierze koń na kiel — stąd też wsiadając na konia od lewej strony i ważąc się w strzemieniu, ma go się do razu w mocy; nazywają także lewy pośc konia „wytocznym“ bo po tej stronie bywa wytok upięty; a prawy nazywają „odwłocznym“ bo po tej stronie nosi i wlecze się włocznia.

Przytaczamy tutaj tych kilka wyrazów, by dać dowód, jak już sam język świadczy tu o rzeczy, o hodowli koni i głębokiem zapatrzeniu się na istotę przedmiotu, kiedy dziś niczego nazwać nie umiemy, chociaż czasem nawet wiemy o co chodzi.

Otóż w nożnych znakach znaczy „biała wyskoczna“ konia spokojnego, powolnego, sposobnego do nauki, ale często podległego przypadkom, bo już z przyrodzenia jest ta noga słabszą od grzebnej, przez ubielenie słabnieje więcej a więcej jeszcze przez najeżdżanie, gdy się siłę konia „na włoczną“ przekłada i podnosi.

Biała grzebna noga małego poważania u znawców, bo przez ubielenie osłabia się koń w najtęższej nodze swojej, na której cwałuje, kiedy jest wolny.

Biała włocznia noga, chociaż się taki koń po-

kazuje w czynieniu naręczny, uchodzi za hardego, a nadewszystko nieszczęśliwego i takiego nie brać do wielkiej okazji: konia takiego nazwano „odwłoczkiem“ i jest przysłowie wojskowe: „Siadany uciecze, odwłoczek powlecze“.

Jakoż ze wszystkich nożnych znaków w koniu, nie ma tak dobrego jak gdy koń ma białonóżkę siadaną, nie wyżej ubieloną jak po kostkę, bo taki i czystego serca i dobrej a wesołej fantazji i wielkiego biegu, i więcej zawsze zrobi niż może, a nadewszystko że taki szczęśliwy!

„Koń w pończoszках“ tj. na cztery białonogi, znak to bardzo dobrego umysłu i fantazji dobrej, ale łatwo szwankuje i chromieje; chyba żeby miał łysinę foremną, wówczas to wielką znamionuje dobroć.

Jeżeli koń ma „wyskoczną i odwłoczną białą“ tedy niebezpieczny i małej ceny; jeżeli ma obie „wytoczne“ białe, mało co lepszy.

Jeżeli na krzyż ma białe nogi, od wyskocznej do siadanej, to już lepszy, ale także nie wiele wart, bo się związać lubi.

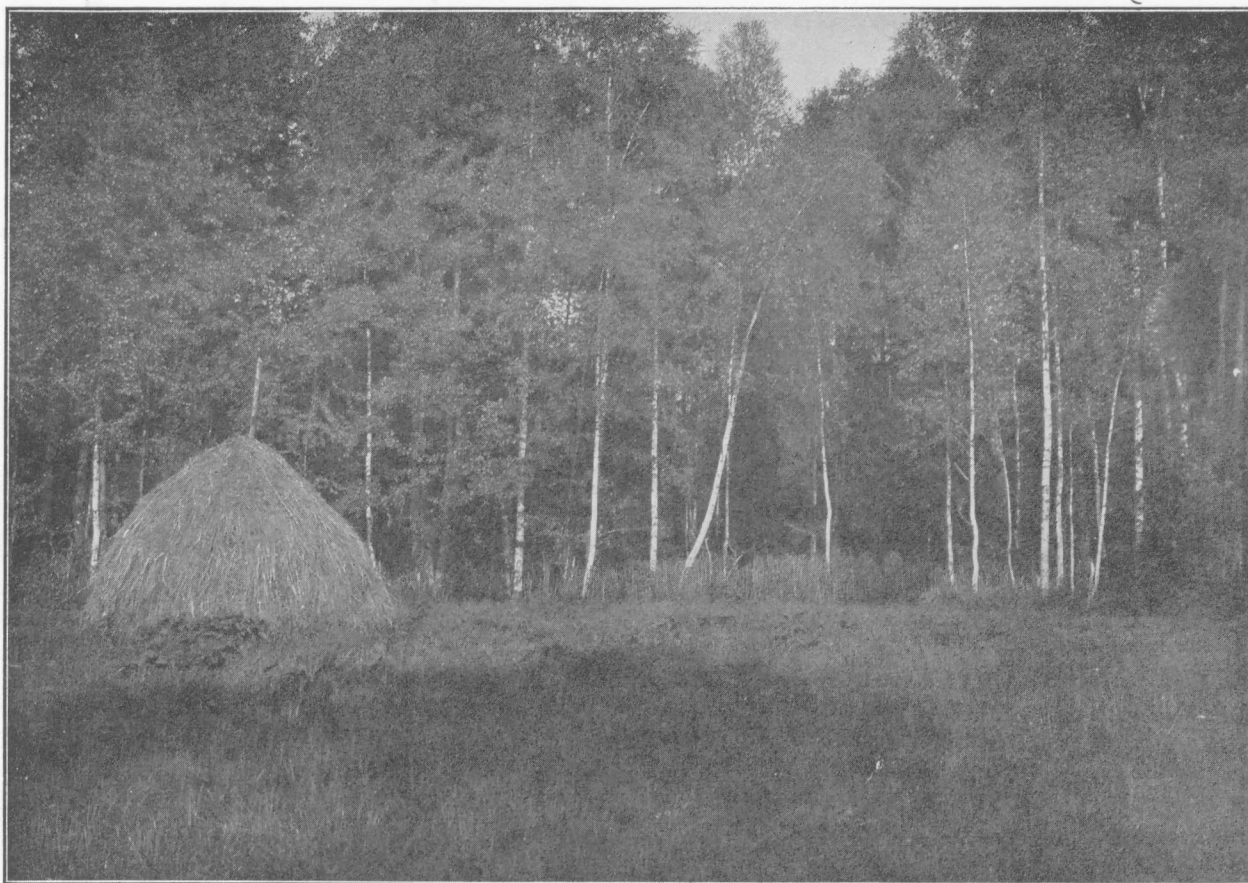
Jeżeli ma grzebną i odwłoczną białą, nieszczęśliwy i niebezpieczny, szwank z takiego konia pewny: jeżeli w końcu obie wytoczne białe, nie lepszy i ścigać się lubi; zawsze jednak na krzyż, aniżeli półciem, białe nogi lepsze.

Co o sierści, toż samo znaczy się o rogu. Jeżeli róg u białonogich biały, zawsze źle i o tyle ubywa im wartości, nawet zresztą przy dobrych znakach nożnych.

Koń oczu jaskrawych, wielkiego białka, albo gdy białe lub siwe miewa w oku miasto czarnego, krom tego że szpetny, miewa kurzą ślepotę, a na śniegu, zwłaszcza w dzień jasny, mało co albo nic nie widzi.

Po nagłownych i nożnych znakach idą w końcu znaki felowe, znamionujące w koniu krew dobrą i ród szlachetny. Tu wypada rozróżnić naprzód odwroty czyli piórka orle od wichrów czyli wirów, ale nie od tych wirów które ma każdy koń na czole, na gardzielu, na uszach, na pępku i bokach, ale od tych wirów, które się po innych miejscach znajdują na koniu. W największej cenie miane jest orle piórko czyli odwrót podłużny, a tem wyżej cenione, czem dłuższe i równiejsze, po obu pościach konia równej długości i w tem samym miejscu. Dobre orle piórko gdy na czole, po obu stronach wzdłuż szyi, dobre jeżeli ich więcej jest, gdy w nieparzystej liczbie, na grzbiecie, w podłe samego rze pia, słowem wszędzie tam, gdzie go koń okiem zajrzeć nie może. Znak to szczęśliwy i wielki!

Mniejszych już ceny wiry i wichry, zawsze jednak dobrze świadczą o koniu i jego rodzie, byle się nie znajdował blisko serca lub na sercu, ale tam gdzie koń o nich wiedzieć nie może.



Polanka leśna (z teki p. J. Woyniłowicza z Mokran).

## Z TOKU NA TOK.

Pijani wiosną, przez cały tydzień włóczyliśmy się z Włodziem wśród jezior, mchów i puszczy uroczej Witebszczyzny, wieczory i ranki spędzając na ciągu i tokach, noce przy ognisku. Mało bywało snu podczas tych cygańskich noclegów, bo sen odbiega daleko, gdy leśny człowiek, trochę podobny do niedźwiedzia, a trochę do pnia starej wierzby do pół ciała krwawej od ognia i do pół od księżyca srebrny, pocznie snić długą opowieść o głuszcach, rysiach i dziwnych myśliwych przygodach, gdy tajemne hasło puhacza raz po raz dalekim chichotem przerwie mu opowiadanie...

Cudowny tydzień minął szybko, zbliżał się dzień mego wyjazdu. Ostatnią noc postanowiliśmy poświęcić głuszcem i, naładowawszy linijkę wiktuałami koło południa wyjechaliśmy do znajomego leśnika, mieszkającego głęboko w puszczy.

Z polską gościnnością przyjęci przez potomka „pancernych bojarów“, osadzonych tu, na północnych kresach Rzeczypospolitej przez Batorego, zaczęliśmy rozpytywać się o główny cel naszej wyprawy.

„Są, śpiewają dobrze, ale śniegu w puszczy jeszcze dużo — przeszkadza, więc na toki rzadko chodzimy“, brzmiała lakoniczna odpowiedź i, jakby dla zilustrowania swych skąpych słów, malutki, brodaty starzec, do leśnego gнома podobny, wyciągnął z komory trzy wspaniałe, zielenią mieniące się ptaki.

Z szacunkiem spojrzeliśmy mu w siwe, chytre oczy; rozpoczęły się układy. Stary rozgadał się; mówił płynnie wielkorosyjskim akcentem, czasem wstawiając białoruskie wyrazy; słowa jego tchnęły jakąś przedziwną leśną prostotą. Gdy mówił o tajnych, myśliwym tylko wiadomych obrządkach, spełnianych w puszczy o brzaskach wiosennych dni, zniżał głos do szeptu, jakby w obawie, że gdzieś w pobliżu czyha niepoświęcone ucho profana. Zśród siwych zwojów długiej brody, niby arcykapłana leśnego kultu, szeleściły wówczas słowa natchnione, dopełniane odpowiednią gestykulacją suchych, do szponów drapieżnego ptaka podobnych palców: nie słysząc go, przysięgłbyś, że mówi o głuszcach. Przy tem jękał się zlekka i rozpoczynał każdy zwrot jakimś nieokreślonym gardłowym dźwiękiem, dziwnie

podobnym do pierwszej zwrotki głuszcowej pieśni. Podobał mi się z pierwszego wejrzenia, a kiedy ofiarował się być moim przewodnikiem, oczarował mnie zupełnie. Wyszliśmy na długo przed zachodem słońca, bo od tokowiska, dzieliło nas sześć wiorst drogi. Włodzia poprowadził syn leśnika na inne tokowisko, również bardzo oddalone, pomimo to postanowiliśmy nie nocować osobno w lesie, ale po skończonych podsłuchach zebrać się w chacie leśnika dla obgadania planu rannej kompanii.

Droga, choć daleka, wydała mi się krótką, tak pięknym był las, przez któryśmy szli. Górzysty, pokrajany wąwozami, na dnie których szemrały wiosenne strumyki, upstrzony jeziorkami, przypominał mi znaną z opisów tajgę syberyjską.

Władnym gestem „gnoma“ osadzonym w miejscu podsłuchów, nie zdołałem jeszcze rozejrzeć się dokoła, gdy przewodnik mój, dawszy mi szepczeniem kilka ostatnich wskazówek, znikł gdzieś, jakby się zapadł w zielone mchy i suche paprocie. Stałem na wysokim cyplu sosnowego boru, daleko wrzynającym się w porosły na wpół karłowatą sośniną „mch“. Wierzchołki tych sosen były na jednym poziomie ze mną, nie przeszkadzając mi widzieć najeżonego świerkami grzbietu stromej góry, ciągnącej się za „mchem“ i kilku rozrzuconych po „mchu“ suchych „ostrówków“. Wśród nich, według słów starego leśnika, miały zapadać na noc głuszcze.

Jeszcze nie zaszło słońce, gdy pierwszy z szumem przeciągnął nade mną i zapadł na wierzchołek sosny; posiedział tam chwilę z rozpostartym wachlarzowato ogonem, chrząknął i splunął na mech. Nastąpiła długa cisza. Dopiero o zmierzchu, gdy przyleciały jeszcze dwa inne i rozlokowały się za „mchem“ gdzieś u stóp świerkowej góry, zdecydował się ów pierwszy przerwać poszukiwania prze-

marzłych żórawin, porwał się ciężko z ziemi i zapłotał gdzieś w pośrodku „mchu“, w odległości jakich trzystu kroków odemnie. Poprawił się raz i drugi, spróbował głosu, a potem zaśpiewał.

Nie tracąc czasu, rzuciłem się ku niemu, starając się robić jak największe kroki: czas naglił. Z południowego stoku pagórka stoczyłem się w kilku susach; dalej, na błocie leżał śnieg i chrząścił głośno pod nogami. Za każdym krokiem zaciniałem

zęby w rozpacz, że spłoszę dwa inne milczące głuszcze. Już coraz krócej śpiewa... coraz rzadziej brzmią pieśni... za chwilę zamilknie, lecz otóż i on! Siedzi w pół drzewa na grubym konarze, bokiem do mnie.

W pośpiechu niebacznie wyskoczyłem na otwartą polankę i stoję na białej płachcie śniegu, byłby ślepcem, gdyby mnie teraz nie spostrzegł. Lecz widocznie wzrok ma dobry, bo ucina pieśń w połowie i stanowczym ruchem prostuje się na gałęzi. Odzyskuje zimną krew, grzmi moja dwururka, i wielki ptak konwulsyjnie bije skrzydłami skrzepły śnieg.

W leśniczówce zastałem miny kwaśne: ani Włodzio, ani jego przewodnik nie słyszeli głuszców, nadmiar złego koń nasz, kapryśny Krasawczyk, wyrwał się z niedomkniętej stajni i uciekł do domu. Złożyliśmy radę wojenną,

na której postanowiono, że „gnom“ przed świtem poprowadzi Włodzia na trzecie, pozostawione w rezerwie, tokowisko, syn jego pójdzie szukać konia, ja zaś miałem sam udać się znajomą mi już drogą do dwóch zasadzonych z wieczora kogutów.

Trzy nocne godziny zeszyły nam na zacłętej walce z sześciogimy mieszkańcami chaty, które wyszły na żer, korzystając z głębokiego snu dwunogich autochtonów.

O pierwszej zasrebrzyła się broda „gnoma“ w cieniu nawpół otwartych drzwi i leśny głos, prze-



Odpoczynek  
(z teki p. J. Woyniłowicza z Mokran).

rywany charakterystyczną czkawką grającego głuszcza zwiastował mi wybawienie.

— Kule miej pan w pogotowiu; „on“ chodzi teraz po lesie głodny i zły — szepnął mi porozumiewawczo na odchodnym.

Możliwość spotkania z niedźwiedziem w tem fantastycznym, mało mi znanem środowisku uśpionej północno-białoruskiej puszczy zaostrzyła tylko mój głód wrażeń, jednakże czułem jakieś lekkie dreszczyki, nie tylko od ранnego przymrozku, kiedy wzrok ze znajomej ścieżki skręcał w ślepe otchłanie lasu, napotykając wszędzie zagadki nocy; „on“ wyrósł w mej wyobraźni do rozmiarów owego potwora, niegdyś szerzącego postrach wśród górali na skalnem Podhalu.

Odetchnąłem swobodniej dopiero wtedy, gdy po przez rzadkie pnie olbrzymich sosen zasrebrzył się w księżycu znajomy „mech“. Tu, choć dalszy od ludzkich siedzib, czułem się śmielszym. Na wczorajszym pieńku, przykrytym choiną, czekałem świtu, ale nim nastał, daleko gdzieś huknął głuchy strzał, później głuszyce zaczęły kwoktać, przelatując nad lasem, a pieśni wciąż słyhać nie było. Zziębnięty zszedłem na *mech* i, przeraźliwie trzeszcząc zlodowaciałą skorupą śniegu, posuwałem się zwolna naprzód. W jakimś tępem odrętwieniu zapomniałem o ostrożności. Trzask śnieżnej

skorupy przestał mnie drażnić i ledwo powłócząc zmęczone nogi, krążyłem w labiryncie rozsianych gęsto „ostrówków“, napróżno wyężdżając słuch.

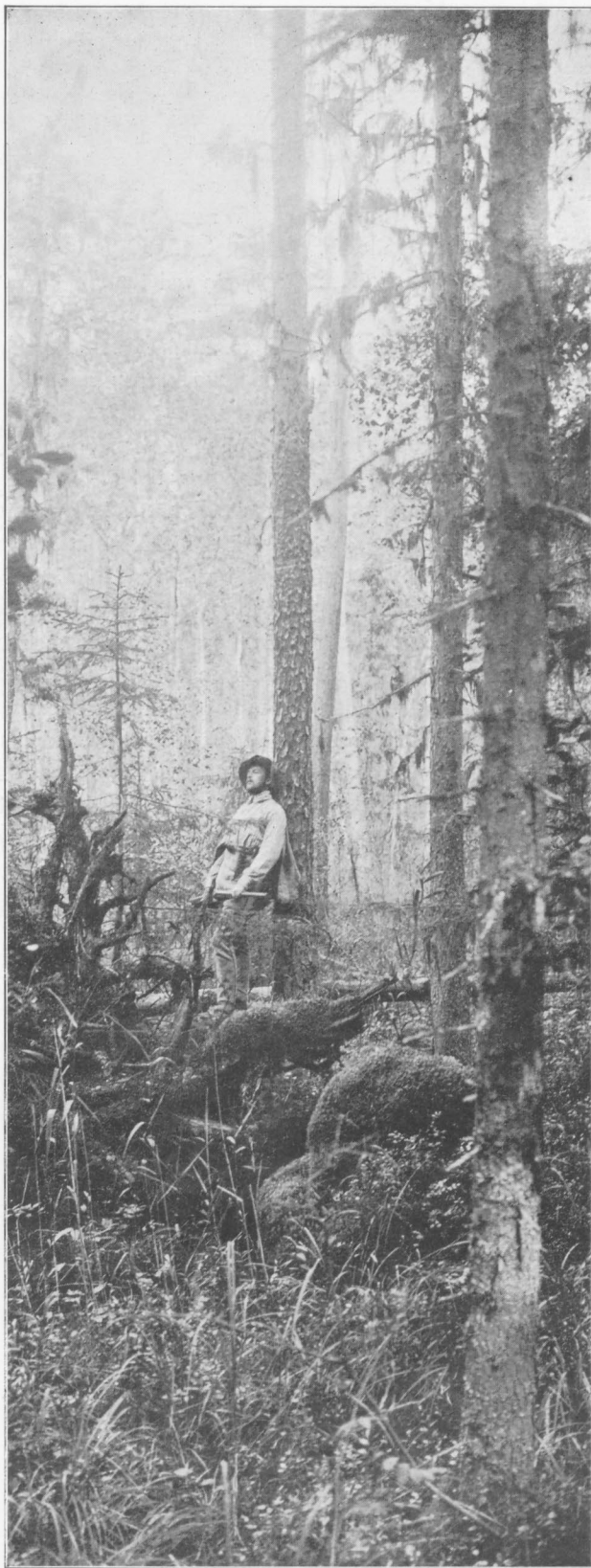
Szereg niedospanych nocy diablo dawał się we znaki.

Dopiero o wschodzie słońca usłyszałem pieśń spóźnionego śpiewaka. Tokował w suchym, wyniosłym borze, gdzie śnieg już zginął. Podskoczyć do niego w rytm ostrej, namiętnej gry, w zamaskowaniu rozłożystych świerków, było chłopięcą igraszką.

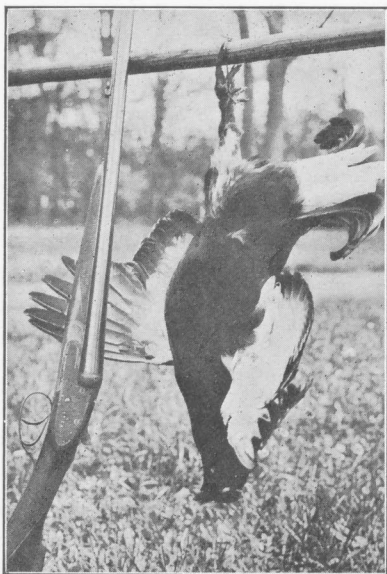
„Gnom“ zęgnął nas czule i z wylaniem, jak tego wymagała sytuacja; chwalił moją wytrzymałość i zmysł orientacyjny, unosił się nad celnością strzałów Włodzia, który ze swej trzylufki na bajeczny dystans przeszył głuszcza kulą; wreszcie zapraszał na przyszłoroczne toki. Obiecywaliśmy szczerze.

Bezpośrednio prawie z tego tokowiska zostałem rzucony w kąt wagonu, śpieszącego na południe z szybkością kilkudziesięciu wiorst na godzinę. Sen zmorzył mnie natychmiast. Nie słyzałem, jak pociąg ruszył ze stacji, minął malownicze Inflanty polskie, wpadł w rdzenną Litwę i, wypocząwszy w jej sercu, pomknął po przez Niemen i Ruś Czarną ku Polesiu.

Wysiadłem na pierwszej poleskiej stacyjce. Na peronie, korzystając z krótkiego postoju pociągu, jakiś, dążący z Petersburga do Odesy,



Na tokowisku (z teki p. J. Woyłłowicza).



Cietrzew-kogut  
(fot. amat. p. Witolda Wagnera).

dzwoniąc zębami na klawiaturze fatalnych mostków i marząc o wypoczynku we własnym łóżku.

Kiedym jednakże po czterech godzinach stanął u celu, już inne projekty snuły się po głowie.

Przez otwarte okno mego pokoju wciskały się szmery ciepłej, wilgotnej nocy wiosennej, woda szumiła w stawidle i uszata leśna sówka wabiła w las sennem pohukiwaniem. Niepodobna wprost było oprzeć się przemożnym głosem natury; chwyciłem za strzelbę i już biegłem w stronę lasu. Znałem jeden taki zakątek bliźutko, tuż za dworem, gdzie bez wieczornych podsłuchów można było niechybnie znaleźć głuszca; wiedziałem, na której sośnie najlepiej lubi siadać, ba, pamiętałem nawet rozkład gałęzi tej starej, królującej nad karłowatym lasem sosny.

Na skraju „mchu“ z przyzwyczajenia raczej, niż z potrzeby rozpałem ma-lutkie ognisko, i, wpatrzony w czerwone płomyki, czekałem. Do świtu miałem pół godziny czasu.

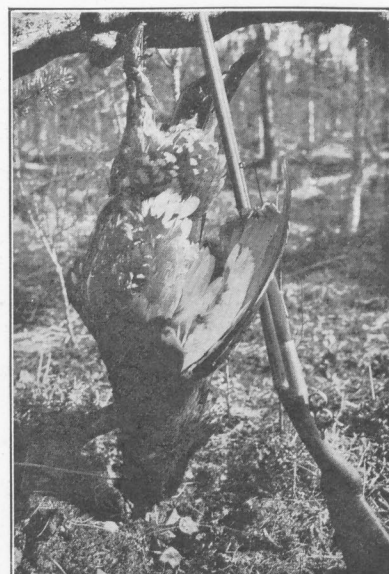
Błota gotowały się tłumionem, nocnem rechotaniem żab, a z głębi boru szły niejasne szepty, z których czujne ucho

berlińczyk kupował parę łosio-wych rogów od poleskiego chłopa. Obok uwijał się nieodzowny pośrednik w chałacie, w pocie czoła tłomacząc lapidarne zwroty kosmatego poleszuka na falsyfikat szyllerowskiej mowy. Nie doczekałem się końca handlowych pertraktacji i po historycznych poleskich grobelkach ruszyłem w głąb kraju,

co pewien czas wylawiać się zda-wało dalekie chrapanie ciągnącej słonki. Gdzieś na rzece kwokała krzyżówka.

Oparty plecami o chrapowaty pień sosny, zarzemałem.

Wrażenia ostatnich dni złożyły się w dziwny, chaotyczny sen. Ujrzałem las, zalany wodą, przez który, skacząc z kępy na kępę, potykając się i gu-



Cieciorka  
(fot. amat. p. Witolda Wagnera).

biąc melonik, szedł widziany na stacji niemiec; wiódł go żyd-faktor i kościstym palcem wskazywał tam, gdzie w koronce gałęzi śpiewał głuszec.

Chciałem krzyknąć, ostrzedz króla naszych lasów przed grożącym mu niebezpieczeństwem, tak potwornym wydał mi się ów świętokradczy pochód obcych sprzymierzeńców, gdy nagle dziwny przewodnik wskoczył na niską, poziomą gałąź sosny, zadarł w górę chałata i już szlifował namiętnie, już koszlawymi butami deptał rdzawą korę, spacerując wzdłuż po gałęzi; jego semicki nos zagiął się jeszcze bardziej w dziób ptasi i krótka broda drgała na wyciągniętej szyi w dreszczach ekstazy.

Odpędziłem precz przebrzydły koszmar, zgasiłem ogień i szedłem w las, gdzie zrzadka, z długimi przestankami zaczynał kłapać głuszec.

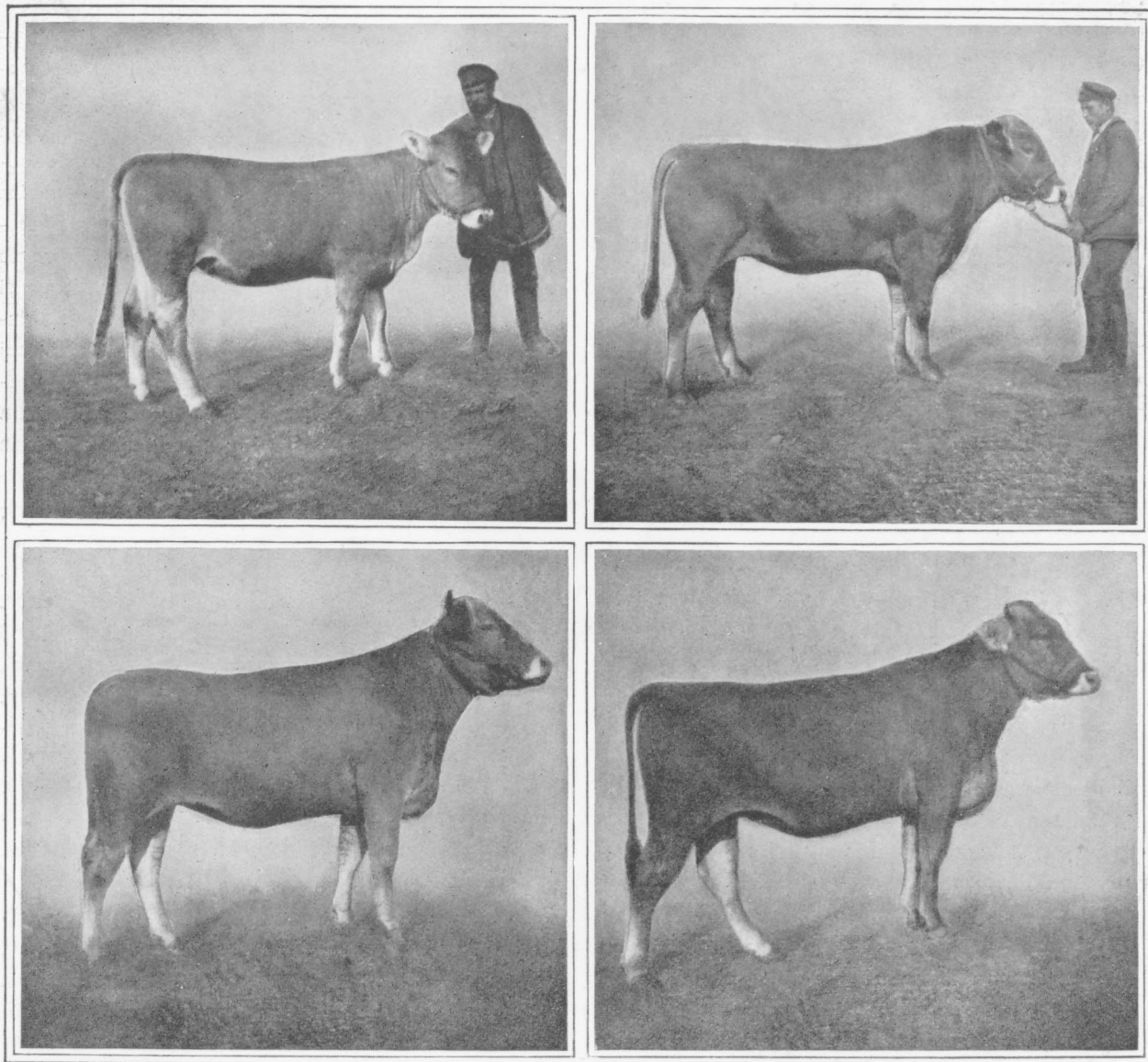
Czekałem pieśni właściwej i serce równie głośno tukało mi się w piersiach, jak niegdyś, przed laty, kiedy w tem samym miejscu słuchałem czarownych dźwięków po raz pierwszy.

J. WOYNIŁOWICZ.



Przy leśnym ognisku  
(fot. amat. p. Witolda Wagnera z Solecznik Wielkich, w Wileńskiem).

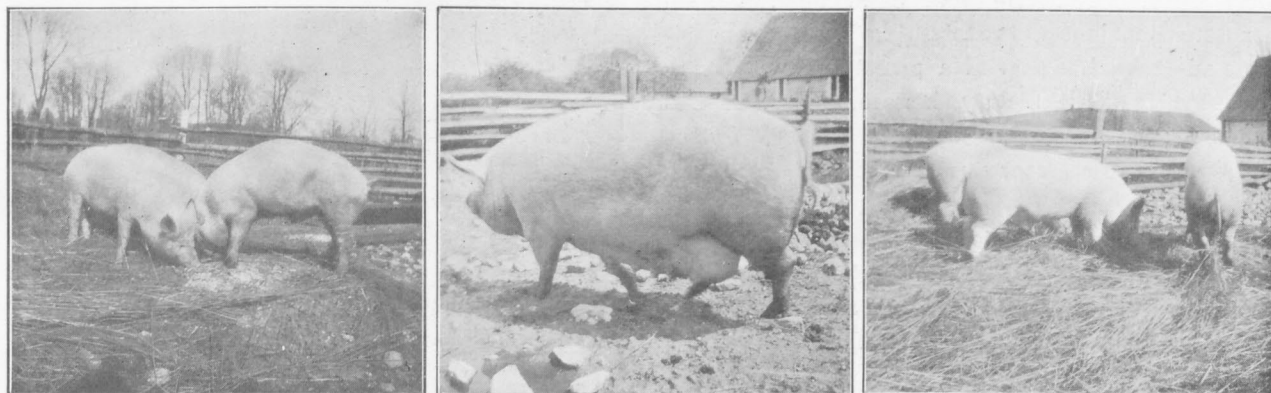
NARUNY, W KOWIEŃSKIEM.



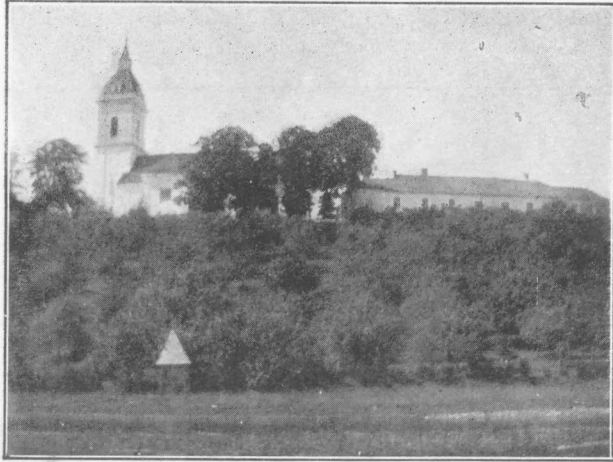
Ciołka Szwyc.  
Ciołka Szwyc.

Zarodowa obora w Narunach, w Kowieńskim.

„Rubel“ byczek Szwyc.  
Ciołka Szwyc.



Grupy prosiąt i maciora wielkiej białej rasy angielskiej z chlewni w Narunach, w Kowieńskim. [



Kościół i b. klasztor OO. Dominikanów w Poławeniu.

## NARUNY.

**D**obra ziemskie i rezydencja pp. Zygmuntoŵstwa Węćławowiczów, Naruny, leżą w Kowieńskiem o siedem wiorst od stacji kolei lipawskiej Sławianiszki. Gospodarstwo jedne z najpierwszych na Litwie; pola zdrenowane i uprawione według ostatniego słowa postępu rolniczego. Obora zarodowa rasy Szwyc, sławna w całym państwie, posiada przeszło czterysta nagród, medalów dyplomów uznania. Zarodowa chlewnia rasy dużej białej angielskiej; owczarnia zarodowa angielska i stadnina roboczych koni ardenów. Myśliwstwo traktowane nie po dyletancku, a ze znanstwem i zamiłowaniem, podniosło zwierzoŵstan okolicy. Ogród owocowy, prowadzony umiejętnie stanowi teŵ powaŵzną rubrykę dochodów.

Miejscowość malownicza: dom murowany, wiejski biały dwór, architektonicznie harmonijny, w swej bezpretensjonalności, wznosi się na wysokim wzgórzu nad rzeką Ławeną. Na przeciwnym wyniosłym wybrzeŵzu rzeki, duŵ klasztor b. O. O. Dominikanów i kościół o wysokiej wieŵzy, świećą białością murów i czerwienią dachów w otoczeniu starych drzew.

Z werandy oko biegnie wzdłuŵ łąk nadrzecznych, ścielących się długim pasem ukwieconej zieleni u stóp wzgórz pokrytych falami zbóŵ, kobiercem roślin okopowych i wzorzystemi oponami róŵowej koniczyny.

Wieczorami, kiedy księżyc wyłaca mgły nadławieńskie, śpiewy sówlików idą o lepsze z pieśniami

ludu miejscowego i drŵą echem po ukwieconym parku na spadach góry, ginąc w starej wjazdowej alei.

Lud litewski ocenia pracę p. Zygmunta Węćławowicza w podniesieniu jego dobrobytu i agronomicznej kultury w całej okolicy. Jako prezes Towarzystwa Rolniczego Kowieńskiego, organizuje on róŵne wykłady, kursa, wystawy dla większych gospodarstw, oraz małe ruchome pokazy inwentarza dla drobno-włościańskich zagród, które coraz częściej się tworzą przy dobrowolnem kolonizowaniu wiosek. Lud litewski, widząc swoją korzyść, sławi Naruny i ich właściciela nawet w litewskich pismach ludowych. Stosunki polsko-litewskie w tej pięknej okolicy Kowieńskiej są jak najlepsze. Służba w Narunach trzyma się dziesiątkami lat, co na dzisiejsze czasy jest rzadkością. Załączona

fotografja przedstawia żyjącego tam obecnie starego leśnika Józefa Jakutowicza, który brał udział, razem z ojcem dzisiejszego dziedzica ś. p. Henrykiem Węćławowiczem, w bitwie pod Madejkami w 1863 roku. Mimo uszkodzonej szczęki, którą mu wtedy strzaskała kula, stary trzyma się krzepko, i bardzo wyraźnie opowiada o dawnych czasach i deklamuje owoczesne pieśni słuchającemu go z zachwytem trzeciemu a drobnemu jeszcze pokoleniu.

Naruny posiadają bardzo ładną bibliotekę, około 6,000 tomów liczącą, oraz zbiory rodzinne, wśród których siodło tureckie w srebro oprawne, z ku-



Stary słuŵa Józef Jakutowicz.



Dwór w Narunach, na ŵmujdzi.



temi strzemionami srebrnymi, podarowane przez Sobieskiego jednemu z przodków dzisiejszego dziedzica w czasie bitwy pod Wiedniem. Wśród obrazów jest parę starych portretów dożów weneckich — niezmiernie cennych.

Z innych rzeczy — zwracają uwagę urny porcelanowe i przepiękny zegar z brązu złoconego, pochodzący z apartamentów królowej Marji Antoniny. Słynny w owym czasie Walicki, który z królową grywał w écarté, mnóstwo pięknych rzeczy z Paryża przywoził do kraju, jako kolekcjoner-znawca, i wiele z nich zbywał rodakom.

Wieś polska posiada niemało cennych zbiorów i luźnych dzieł sztuki swojskiej i europejskiej. Szkoda tylko, że tak niewiele o nich wiadomości przesiąka do szerszego ogółu.

KŁOS.

## SŁONKI.

Pierwszy szczerze wiosenny dzień. Świat cały przyprószony zielenią i kwieciami, pod pogodną niebios kopułą, przystrojony królewską szatą zachodzącego słońca, wyglądał odświeżnie i radośnie.

W taki to dzień wiosenny, po szerokim gościńcu toczył się szparko wózek, ciągniony przez parę roślących gniadoszów. Gwaro tam było: ludzie, psy, strzelby, zapełniały siedzenia.

Wjechali w las... czasem bezlistne gałęzie stuletnich dębów łagodnie pochylały się na ich przyjęcie przyjaznym ukłonem, witając przybyszów... a smukłe, niebotyczne sosny, spojrzawszy na nich, szumiały dalej poważnie, niby w ascetycznym rozmodleniu.

Surowy może trochę nastrój lasu rozweselała rozbrzmiewająca skrzydlata orkiestra i zapach pierwszoków, wychylających się do słońca i samej wiosny.

Myśliwi zamilkli, pod wrażeniem odradzającego się wszędzie życia, zapatrzeni, zasluchani w otaczające ich cuda przyrody, psy tylko kręciły się niespokojnie, odczuwając bliską zwierzynę.

Dojechali do celu! wózek mniej poetycznie skaczący po kamieniach stanął, psy wyskoczyły radośnie, wysiedli też myśliwi, już bez cienia poprzedniego zachwyty, niejako rozrzewnienia. Teraz główną rolę grały instynkta prawie zwierzęce, krwiożercze.

Szybko stawali na stanowiskach; suche gałęzie trzeszczały pod ich stopami, przykrym dysonansem, lecz wkrótce wszystko ucichło i... znowu, jeśli nie wszyscy, to kilku myśliwych zapomniało o celu swej podróży, o utrzymanym w ręku narzędziu

śmierci. Pochłonął ich radosny wieczór wiosenny...

Ostatnie promienie słońca żegnały ziemię; zanikał z wolna chór ptasząt, co chwila tracąc śpiewaków, układających się już do snu, i wiatr ustał, i drzewa umilkły...

Nic nie było słychać, oprócz ciszy! Niebawem jednak wyjrzała z za drzew ciekawa tarcza księżycy, przy akompaniamencie rechotania żab i nieudolnych, pierwszych trelach pieśni słowiczej...

Wtem las zadrżał! To nic! to jeden z mieszkańców leśnych, donośnym rykiem wyznaje swą miłość: przecie już wiosna, wszystko chce żyć, kochać, mnożyć!

I znowu cisza... Mimowoli tęsknica jakaś zaczęła spływać na świat ze srebrno-błękitnego światła miesiąca.

Hej, bacność! oczy do góry! oto jeszcze jedna muzyka, ta oczekiwana, upragniona: chrapanie zakochanej, niebaczonej niebezpieczeństwa słonki...

I las zadrżał po raz drugi!... Huk, snop ognia i w obłokach dymu spadające małe ciało, drgające jeszcze ptaszyny.

Wszyscy się zerwali, porzucając marzenia, wszystkich skupiła biedna ofiara miłości.

Las tysiącnie echem powtarzał jeszcze huk strzału, księżyc skrył się przerażony za chmurę, umilkł słowik, żaby tylko wciąż rechotały, urągając śmierci...

WOŁYNIANKA.

## LIST CHŁOPCA WIEJSKIEGO DO BOLESŁAWA PRUSA.

Czcigodny autor „Placówki“, otrzymawszy list poniższy, zwrócił się do naszej Redakcji, abyśmy zeń właściwy zrobili użytek. Lepszego nie uczynić nie możemy, jak polecić to serdecznie, proste pisanie Waszemu sercu Czytelnicy.

Najmilszy Redaktorze.

Mam gorące pragnienie błagać Najmilszego mi Redaktora o poratowanie mnie biednego chłopczyne. Drogi Redaktorze nie wiem czy kto mocniej czuje nademnie coto jest nauka, od lat młodszych, już ona dla mnie była wielkim marzeniem.





KAZIMIERZ WIKTOR.

## Żywot i czyny Cymbała.

(Ciąg dalszy).

Piękna pani i brzydki autor prowadzili ożywioną rozmowę. Małżonek się irytował na poduszce. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że drażniło go terkotanie automobilu, który, jak wiadomo, czem wolniej jedzie, tem głośniejszą się niecierpliwi. Być może zresztą że go także i inne terkotanie drażniło.

W rozważaniu tego ostatniego przypuszczenia, postanowiłem wciągnąć go do rozmowy wybierając temat wesoly. Zapytałem przeto z wielką zręcznością:

— Państwo mają zapewne kogoś z bliskich na cmentarzu i do jego grobu jadą?

Wydaje mi się, że pan Troczewski skrzywił się na to cokolwiek. Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tem powodem tego skrzywienia się, gdyż obaczyłem w tej chwili pod murem cmentarnym psa niesłychanie zbiedzzonego a w ogólnych zarysach ogromnie do mojego „Cymbała“ podobnego.

Zapominając o wszystkich regułach dobrego wychowania, nie wydając z siebie głosu, nie żegnając się, wyskoczyłem z automobilu jak z ukropu. Skoro jednak pod mur dobrnąłem już ani psa ani człowieka obok stojącego tam nie było.

Przystąpiłem do jakowejś ślepej osobistości, która wyglądała na ilustrację do gorzkich żalów i uprzejmie zapytałem, czy tej osobistości nie wiadomo, dokąd się jej sąsiad z psem zwrócił. Pobiegłszy wzrokiem we wskazanym mi kierunku, zobaczyłem jedyny w swoim rodzaju obrazek.

W poprzek ulicy pies prowadził na sznurze ślepego kalekę.

W danej chwili misja przewodnika była trudna. Trzeba było przeprowadzić starego ślepego i kulawego człowieka w poprzek drogi, przez którą szeregi pojazdów niemal nieprzerwanym łańcuchem ciągnęły.

Pies prowadził żebraka pod samą linię jadących powozów, wyczekał chwili stosownej, poczem — gdy nagle luka między powozami powstała — uznając, iż moment jest dla przeprawy odpowiedni, zrazu sznur leciuchno naprężył, a potem całym ciałem się nań zwiesiwszy, pociągnął swego pana za sobą.

Ślepy instynktownie się ociągał. Nie szedł o własnej mocy, lecz dawał się ciągnąć. Posuwał się ruchem wolnym, niepewnym, krokiem ociągającym się i niezdecydowanym. Cały kurpus i głowę charakterystycznie wstecz podawał. Nogi podnosił wysoko w górę i opuszczał je powoli w linii prosto-

padłej ku ziemi, stąpając całymi stopami. Kijem wciąż drogę obmacywał. A ruchy tej laski były tak wymowne, tak dziwnie rozumne, tak pełne czucia i zrozumienia swych zadań, że sztywnemu kawałkowi drzewa zdawały się nadawać ciało stworzenia żywego i duszę istoty myślącej.

Pies na wyciągniętym sznurze jakby zawieszony, nieco się niecierpliwił oporem i powolnością żebraka. Ciągnął go też z całej mocy. Układem ciała był w tej chwili podobny do owych psów, jakie się w Belgii widuje, ciągnących wózki z mlekiem w dyszlowym zaprzęgu.

Lecz kaleka trwał w swym instynktownym oporze, wolno i z niedowierzaniem dając się tylko prowadzić. Pies siły dwoił, raz wraz niespokojnym błyskiem oczu w stronę nadjeżdżającej zdała dorożki rzucając.

Snać zrozumiał niebezpieczeństwo, bo nagle się odwrócił i szybkim, łaszającym się ruchem otarł mu się o nogę, w oczy pilnie zaglądając. Niemy ten gest wyraźnie mówił:

— Nie bój się! Chodź prędzej! Nie dowierzasz mi? Możesz mi zaufać; przecież ja ci krzywdy nie zrobię.

Poczem znów sznur naprężył i wrócił do swej pracy; ciągnął dalej ślepego, który dalej nie zbyt dowierzał i dalej się opierał.

Tymczasem dorożka nadjechała na odległość kilku kroków zaledwie. Pies sznurem szarpnął gwałtowniej. Kaleka instynktem niebezpieczeństwo wyczuwszy, a nie mogąc się zorjentować, czy lepiej się cofnąć czy przyspieszyć kroku — przystanął zupełnie.

Dorożka nadjechała — sekunda! i dyszel byłby go w samą pierś uderzył.

Rozumny pies zerwał się nagle, jednym susem przed konia skoczył, wydał z siebie skowyt, w którym gniew był i lęk i próśba i zębami za uzdę chwyciwszy, na niej cały niemal zawisł. Koń napadem zaskoczony zarył przednimi kopytami w miejscu — i pan psiny był uratowany.

Wówczas mój „Cymbał“ do nóg żebraka się rzucił i radosnem skomleniem swą radość oszczekując otarł się o łachmany żebracze, obwąchując je troskliwie, jakby chciał sprawdzić, że się kalece nic złego nie stało, poczem ponownie sznur naprężywszy, wyciągnął żebraka już bez przeszkód na drugą stronę ulicy.

Poprowadził go pod sztachety wzdłuż chodnika idące, wybrał miejsce wolne ciżbie żebraczej i począł bacznie okiem śledzić ruchy kaleki, biorącego nowy posterunek w posiadanie. A gdy ślepy wyszukał już sobie wygodne oparcie dla pleców, gdy zaparł się dobrze nogami o wystające płyty chodnika, twarz w zawodowy grymas skrzywił i kapelusz przed siebie wysunął, wówczas „Cymbał“ raz jeszcze wzro-

kiem całość sytuacji przebiegłszy i przekonawszy się, że wszystko w należyтым porządku się znajduje, poszedł sam z kolei zająć tradycją uświęcone miejsce: usiadł na tylnych łapach tuż przy nogach żebraka i pyszczek w smutną, zbiedzoną powagę przystroił, jakby czując ważność swego posterunku dla życia i bezpieczeństwa człowieka, który mu się w opiekę oddał, jakby czując całą człowieka godność tej nędzy, dla której z życia swego służbę czynił.

Każdego przechodnia przeprowadzał okiem o litość proszając, okiem w swym błagalnym smutku zaprawdę wymowniejszem, niżli owe dwie puste jamy zebranych oczodołów, w których zaczerwienione białka mętne zataczały koła.

Zaiste, tyle było litościwego oddania się w tem wymizerowanem psiem stworzenia, w jego wzroku, w wyrazie pyszczka a zarazem tyle czujności i uwagi na wszystko, co nieudolnej istocie, nad którą straż sprawował, przykrość przynieść mogło lub krzywdę, tyle prawdziwie psiej dobroci, że wstawiało we mnie, patrząc na ten obrazek, nierozumne pragnienie, by choć na moment bodaj być tak jak ów żebrak opuszczonym i nieszczęśliwym i móc się oddać pod czujną opiekę tego wiernego, słodkiego stworzenia. Jakich też wrażeń doznaje człowiek, *homo sapiens*, rozumny „król stworzenia“ czując się zdany zupełnie, kompletnie, absolutnie na łaskę zwierzęcia, na łaskę jego oczu, jego sprytu, jego dobrej i szlachetnej woli?

Chwilami „cymbał“ się nieco ożywiał i wychodził ze swej pozy czujnego skupienia, morda nabierała wyrazu życia, a oczy rozjaśniły się blaskiem zainteresowania. Intrygowały go psy przed nim defilujące, poważne bernardy, niedobre dogi, zgrabne psiny pokojowe, wymoczki ogolone w płaszczkach, wstążkach, z miną bądź zuchwałą, bądź stale wystraszoną. Straż żebraczy oglądał je badawczo, śledził każdy ruch wzrokiem ciekawym, obwąchiwał ostrożnie, gdy się blisko niego przesuwały i dziwił się mocno, że owe wybrańce fortuny tak bezczelnie go nie widzą. Może rozpamiętywał zmienność losów na tym padole szczekania, może „przez łez szybę patrząc na świat rozmyślał, jak szybko opada kwiat na złotym życia łąnie.“

Wszak i on niedawno należał do „sytych“; był głaskany, pieśczoney, łakociami karmiony, myty, czesany, perfumowany... A teraz żebrał pod płótem na kawałek suchego, smutnego chleba.

Długi czas tak stałem wśród płynących tłumów i przypatrywałem się mojej psinie.

Gdy zaś na koniec skierowałem kroki ku kalece, „Cymbał“ zauważył mię już ze znacznej odległości i począł natychmiast dawać oznaki poruszenia. W miarę jak się przybliżałem rosło jego zaniepokojenie.

A gdy wreszcie tuż nad nim stanęłem, pies podniósł się na nogi, ogon pod siebie schował i jał mię gorączkowo po nogach, po rękach obwąchiwać i w twarz mi pełnym łęku wzrokiem zaglądać.

Udając, że nań nie patrzę, że go nie widzę, przemówiłem do żebraka.

— Dobry wieczór, człowieku!

„Cymbał“ zadął głowę do góry i drząc jak liść osiki na całym cieple, z wyrazem nieopisanego trwogi na wargach wzrokiem mi zawisnął.

Pochyliłem się ku niemu i dłoń mu na łbie położyłem. Dreszczem go wstrząsło to dotknięcie. Chwilę stał jak zamaryły z oczyma w moich oczach wtopionemi, a potem — potem skowyt nagły, urwany, zdławiony, skowyt radości niewysłowionej, radości, która aż w ból przechodzi, skowyt, w którym wszystkie przebyte cierpienia skargą zajęczały i całe szczęście weselem zagrało.

— „Cymbał“,! mój „Cymbał“! moje „Cymbalisko“ kochane! zawołałem tonem, który sam drżał wzruszeniem.

Pieszczota mego głosu w szła go przypawiła. Zerwał się w pierwszej chwili, jak gdyby chciał precz uciec, potem na piersi mi się rzucił, i nie zważając, iż sznurem targa niemilosiernie ręką żebraka, lizał głaszczącą go rękę i nogi i buciki i miotał się w miejscu jak obłąkany, raz w raz wydając z siebie ten głos krótki, połknięty, głos dziwnej natury, podobny do radosnego okrzyku dziecka, gdy nieudolnym pyskiem mą radość wypowiada, głos, który niegdyś na bocianich polowaniach słyszałem, tylko wzmożony, zintensywniony do największej skali, do najdalszych granic, w jakich pies swe szczęście oddać potrafi.

Gdy nakoniec pierwsze przywitania były skończone, przystąpiłem do indagowania żebraka.

Kaleka z lękliwą nieufnością starał się uchylić od odpowiedzi. Przyparty do muru, wyznał wreszcie, że psa otrzymał blisko przed rokiem od swego sąsiada, który jest dorożkarzem.

— A gdzie mieszka ów dorożkarz?

— Takij tuż koło mnie.

— Pięknie. A gdzie wy mieszkacie?

— Na Żółkiewskim.

— Żółkiewskie jest wielkie.

— Prawde pan powiedzieli.

— Nie drwij, człowieku dobry, jeno podaj ulicę i numer.

„Cymbał“ całą tę rozmowę chwycił łapczywie, okiem na przemian z ust moich na usta żebraka przesuwał jakby wiedział, jakie to ważne dla jego życia padają słowa.

Wydobyszy nakoniec adres dorożkarza, pożegnałem się z „Cymbałem“ powiedziałem mu do ucha

w tajemnicy wielkiej, że go już teraz nie opuszczę i że się wnet znowu zobaczymy, by się już nigdy nie rozłączyć. Pies zdaje się rozumiał i uwierzył mojej obietnicy, gdyż się cały rozpogodził i przestał mię już zębami za spodnie zatrzymywać.

Dopiero gdy wsiadłem do pobliskiej dorożki, każąc się wieść na Żółkiewskie, pies zawył żałośnie. Ale natychmiast ucichł. Lecz w tem gwałtem sobie zadaniem uciszenia większa rozpacz była niż w najżałośniejszym psim wyciu.

Dorożkarza zastałem w domu. Zapytany o losy „Cymbała” opowiedział mi historję, którą pokrótce powtórzę.

Dwa lata temu zawiózł „jakiś pana” do Winnik i czekał na niego pod lasem, na wzgórzu, z którego gościniec serpentyną do fabryki tytoniu spada. Dał koniowi owsa i zasiadł sobie w powozie do drzemki.

Gdy się przedzemał i wstał, by podać koniowi przyniesioną przedtem wodę, zobaczył „jakiś psa” wlokącego się drogą, okrutnie zmizerowanego, z zawiązaną szmatą na nodze. „Sama skóra i kości”. Wyglądał, jakby chciał „takij zaraz zdychać”.

„Podejszedł do kobyły, taj stanął. I stoi tak i stoi i gapi się w moją chabetę. Podłazi jeszcze bliżej, kuli się, garbi i ogonem merga pomału i ostrożnie, jakby o coś zebrał. Myślę sy, czego on chce?”

Psisko coraz bliżej się przysuwa i furt się kuli i ogonem merga powoleńku i mordę ma taką zbiedzoną, jakby ino co od hycła się wyrwał. I ciągiem kobyły w ślepie zazira”.

„Czego on chce? myślę sobie.

Ale moja kobyła miała więcej rozumu odemnie. Wzięła łeb na bok i nibyto w las patrzy.

A pies nuże do wiadra i nuże chliptać i chliptać. Pewnikiem cały tydzień wody nie pił.

Aże jak skończył, obwąchiwali się z kobyłą dokumentnie i wzięli gadać coś ze sobą, jak dwa przyjaciele”.

I tak „Cymbał” przystał do dorożkarza.

Wielkie było miłowanie między psem i koniem. „Tak się z sobą pokumali, jak dwa krześniaki. Jak kobyła była w stajni, wszystko mu było *recht*. Cały dzień leżał pod żłobem i z „Hańdzią” się „ciećkał”. Ale gdy koń wyszedł na miasto, „Cymbał” nie mógł sobie miejsca znaleźć i taki był smutny i markotny, że aż się dusza krajała. Niechciał ni żryć, ni pić ino włóczył się po podwórze.

Wobec czego dorożkarz „sy wykalkulował” że trzeba go wiaść raz na próbę ze sobą na służbę. Gdy był w drodze, woził go na koźle. Na stanowisku „Cymbał” siadał zaraz przed kobyłą. Dorożkarz czytał „Gońca” pod latarnią a pies z koniem rozmawiali i gadali „niby panowie w kasynie”. Zawsze mieli sobie okrutnie dużo do powiedzenia. Koń pewnie opowiadał, że jest zmęczony, że go coś w prawem kopycie ciśnie a „Cymbał”, co widział co słyszał, czemu na ulicy Słowackiego musiał zaszczekać koniecznie.

Potem dorożkarz brał już „Cymbała” stale ze sobą, bo przywiązał się doń jak do „rodzonego bachora”. Po prawdzie to mu czasem i złość była, że pies więcej się do konia przywiązał, jak do niego. Ale tłómaczył sobie, że pies „ma *recht*”. Wtedy pod Winnikami on był durny i nie wiedział, co psinie brakuje, a kobyła zrozumiała. Istotnie, miał *recht* „Cymbał”!



LINGERIE POUR DAMES,  
BONNETERIE, BLOUSES  
TROUSSEAUX.

*Gustav Zmiggeler*

Varsovie

Tel. 93-52

Czysta 2

**MAGAZYN MÓD**

**NATALJA KAMIŃSKA**

Mazowiecka 20. Telef. 7-05  
ANTRESOLA  
dom suk. Adama hr. Krasińskiego.

**NASZE DWORY**

(Album „Wsi Ilustrowanej”).  
Kilkadziesiąt plansz z wszystkich dzieł.  
Oprawa skórzana. Do nabycia w redakcji  
i we wszystkich księgarniach.  
Cena rb. 2, z przesył. rb. 2,25.

Doszedłszy do tego punktu opowiadania, poczciwy dorożkarz przybrał miłą wielce rozumną. Snać jakieś niemiłe, jakieś przykre wspomnienie goryczą mu się po duszy rozlało.

Było to w rok mniejwięcej po znalezieniu „Cymbała”.

Wiózł jakowych czterech „grubasów z majstatu” do wodociągów, a droga „że niech szlak trafi”. Koń już od dłuższego czasu chorował, ale tego ranka, po całonocnej służbie był zgoła do niczego. Ciągnął „jakiś czas” w pocię kopyt karetkę z grubasami, gdy jednak przyszło pod górę, rozparł się na wszystkich czterech nagach i ani kroku dalej. A batem uderzyć nie sposób, bo „Cymbał” z kozła zaraz warczy i zębami za rękaw gryzie. Zdesperowany dorożkarz chwycił się ostatniego środka, który, jak mię zapewniał, nigdy go dotąd nie zawodził. Ten nieprzyzwoity środek polegał na aplikowaniu biczyska w pewne konfidencjonalne miejsce, które konie płci obojga z urodzonej wstydlivosti ogonem dyskretnie przysłaniają. Wypróbowana sztuka i teraz okazała się skuteczna. Lecz smutne były następstwa bezbożnego czynu.

Koń wprawdzie ruszył z miejsca, poszedł jeszcze parę kroków, lecz nagle zachwiał się na nogach i zwałił się na ziemię.

„I ślus! ani trykła więcej! Ślus“!!

Boleść dorożkarza wówczas musiała być niepoimierna, skoro teraz jeszcze, przy opowiadaniu tej przykłej katastrofy, szorstki głos jego przybierał akcenty żalu i roztkliwienia: „Taka porzodna kobyła! Żeby nie był pod ogon... te, to możeby — ale co to dużo gadać! Już tam jej tak pisane było”.

„Ale żeby Pan byli wtenczas psa zobaczyli! Myślałem, że zbzikuje. Rzucił się do mordy i wył i szczeakał i prosił i za szory targał i zębami głowę podnosił i chrapy lizał... myślałem, że zbzikuje. Potem mię zębami do konia przyciągnął i rzucał się i skomlał i tak mi w oczy patrzył jakby chciał powiedzieć: Czemu drabie nie ratujesz. Pod ogon to umiesz, ale ratować to nie!”

Dobrą godzinę trwała ta psia rozpacz, wreszcie wyczerpany, beznadziejnie usiadł w błocie tuż przy głowie konia i lizał mu chrapy, muchy odganiał i wył od czasu do czasu „jak do miesiąca”.

By go od trupa przyjaciela odwieść, musiał go do karetki zamknąć i tak go do domu sprowadzić. Ale i w domu nie było z psem rady. „Znowu nie chciał mi żyć, ni pić ino furt kuczki pod żłobem odprowiał i taki smutny był, jakby mu odrazu ojciec i matka pomarli”.

Zmiarkował dorożkarz, że „trzeba coś zradzić”. Rada w radę; oddał go ślepemu żebrakowi, który opodał mieszkał, a któremu „akurat była suka zachorzała”. „Będzie miał koło kogo chodzić, będzie niby w obowiązku, to i zapomni o swoim frasunku”.

Przewidywania dorożkarza się sprawdziły. „Cymbał” z czasem do żebraka się przywiązał, tem silniej, iż czuł całą wagę swego posłannictwa wobec kaleki, dla którego był i stróżem i opiekunem i jedynym obrońcą, iż czuł, że „jest w obowiązku”.

Czy teraz żebrak ten zechce mi „Cymbała” zwrócić? ze swym przyjacielem się rozstać?

Odpowiedź, jaka mi się sama na to pytanie nasuwała, nie była bynajmniej uspokajająca. Bo dla czegoż człowiek miał by mieć mniej serca dla tego,

Najpierwsza krajowa fabryka **POMP**  
Sikawek, Narzędzi ogniowych  
i Aparatów assenizacyjnych

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

**Józef Troetzer i S<sup>KA</sup>**

Egzystuje od 1842 roku

w Pruszkowie

Biurowo w Warszawie  
ul. Hr. Berga 2

**Hotel „SAVOY”**

w Warszawie

! CENTRUM MIASTA !

Posiada komfortowe pokoje, windy,  
światło elektryczne, ogrzewanie  
oraz

PIERWSZORZĘDNĄ RESTAURACJĘ.

**Bracia BORKOWSCY**  
SKŁADY ELEKTROTECHNICZNE

WARSZAWA — ŁÓDŹ  
Jerozolimska 56 — Piotrkowska 157  
Telefon 42-46.      Telefon 14-40.

Cenniki gratis i franko.

PIORUNOCHRONY  
telefony, dzwonki,  
elementy, numeratory,  
druty.

Na żądanie wysyłka za  
zaliczeniem.

który mu przez rok cały był Aniołem - Stróżem, który mu z pewnością nieraz już tak życie uratował, jak to niedawno ja sam koło cmentarza widziałem, niż miał go być pies dla konia, którego całą zasługą było, iż dał mu się raz wody napić, gdy wody pragnął. Skoro moje pragnienie odzyskania zguby było tak silne, jakże silny, o ile silniejszy wobec tego będzie opór ślepego.

— Jak dorożkarz myśli, zapytałem, ten żebrak zechce mi psa zwrócić?

— Eh, wróci! Jak mu pan parę koron dadzą... on by rodziną matkę na szóstki rozmięniał.

Tak się też stało istotnie:

Dziesięć koron odszkodowania zadowolili kalekę w zupełności. Nie starał się nawet ukryć swego ukontentowania. Ciekaw jestem, ile by też koron za swą matkę zażądał!?

Ale szczęście mego „Cymbała“ było mniej pogodne.

Gdy po ukończeniu „interesu“ żegnać się jałem z dorożkarzem, pies rzucił się do wyjścia i radośnie skowycząc, jął drapać po drzwiach łapami i szczęście swe we wszelakie psom właściwe sposoby objawiać.

Lecz nagle przycichł, jakby się zawstydzil tych wybuchów radości. Stał nieruchomie na środku izby, z miną, skruszoną parę razy przeszedł wzrokiem ze mnie na żebraka, aż potem, uświadomiwszy sobie widocznie cały ogrom swej niegodziwości przyczołgał się skulony do kaleki, by go za niedelikatne objawy uciechy, za swą niewdzięczność, za niepamięć przeprosić.

Lecz żebrak nań uwagi nie zwrócił. A gdy pies

mu łapami na kolana się oparł i pyskiem jego ręki szukać począł, niechętnie go od siebie odepchnął i dalej srebrne korony między palcami łapczywie przesuwiał.

— Chodź „Cymbał“! idziemy do domu!

Pies na dźwięk mego głosu znowu z wybuchem radości do drzwi się rzucił ale natychmiast znowu do żebraka powrócił.

I doprawdy niewiem czy dobrowolnie byłby swego nowego pana porzucił, gdyby ten w inny sposób był na jego objawy żalu reagował.

Zaraz po przyprowadzeniu do domu, poddałem go dokładnym operacjom toaletowym, „Cymbał“ z nieopisaną uciechą dawał się strzyć, myć, kąpać, czesać, perfumować... Lecz radość jego zgoła już granic nie miała, gdym mu jego dawną obrozę na szyję zapiął i na tem łóżeczku ułożył, na którym za czasów dzieciństwa na popołudniową drzemkę się układał. Szelmosko łebek do poduszki przytulał i z pod oka na mnie zerkał i sam się cieszył i cieszył się moją radością i co chwila się zrywał, biegł pręciutko w rękę mię pocałować i równie prędko w swe pieluszki powracał i znowu oczkami jak czarne guziki figlarnie łypał i był rad i szczęśliwy... taki szczęśliwy!...

A ja byłem nie mniej od niego szczęśliwy.

Nerwy moje były na tak wysoki ton wesela napięte, że oderwałem nieprzepartą potrzebę podzielenia się z kimś moją radością, z kimś, ktoby stan mojej duszy odczuć potrafił. A któż ku temu więcej się nadawał nad chrestną matkę odnalezioną zguby?

(Ciąg dalszy nastąpi).

# L. LIPIŃSKI

Warszawa  
Plac Teatralny № 7  
Telefon 75-12

MAGAZYN I FABRYKA  
WYROBÓW JUBILERSKICH

Brylanty, Rubiny,  
Smaragdy,  
Szafiry i Perły.

# A. HERTEL

## FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.

TELEFON № 22-21.



Regulacje od roku 1856

DO OŚWIETLENIA DWORÓW, PAŁACÓW, KOŚCIOŁÓW NAJODPOWIEDNIEJSZY JEST  
**GAZ POWIETRZNY**

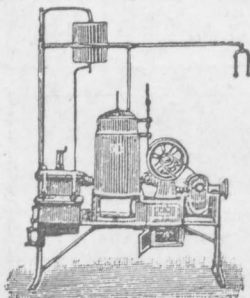
wyrabiany przez najnowsze, zupełnie automatycznie działające aparaty angielskie.

Gas powietrzny nie wybucha, nie szkodzi zdrowiu ani roślinom, nie wydaje najmniejszego zapachu i jest najtańszem oświetleniem, gdyż koszt jednego palnika wynosi 1/4 kopiejki na godzinę. Każdy palnik może być zapalany i gaszony przyciśnięciem guzika na ścianie.

Objaśnienia i kosztorysy bezpłatnie wysyła

**„PROMIEN” WARSZAWA, TRĘBACKA 2**  
(róg Krak.-Przedmieścia).

Prosimy o odwiedzanie naszego biura, dla zapoznania się z funkcjonowaniem aparatu.



## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

*Korespondentowi z Arco.* Dziękujemy za zwrócenie uwagi. *P. P. K. Łuce w Galicji.* Wszystkie zdjęcia będą kolejno użytkowane.

*Hr. Bn.* Fotografie nadeszły, użytkujemy.

*Pani H. Pin.* Wydrukujemy w czerwcowym zeszycie.

*Litwinowi.* Żądane siatki do ogrodzeń wyrabia fabryka hr. Ledóchowskiego, której anons szczegółowy znajduje się w numerze.

*P. J. Brz. w Posuchówce.* Przypominamy się łaskawej pamięci.

*P. M. Wareckiej.* Komplet „Wsi“ z r. 1910 wysyłamy. Kwartałem I z r. służyć nie możemy, gdyż wyczerpany. Prenumeratę zaliczyliśmy od 1 kwietnia r. b. po 1 kwietnia 1912 r.

*P. K. Ł. w Korzkwi.* Polecamy łaskawej pamięci kongres ras.

*P. Witoldowi z Łucka.* „Chromolin“ Hegnera ul. Ordynacka. Jest to faktycznie najlepsza pasta do obuwi.

*P. Józefowi Lipskiemu.* Szczegółowy cennik narzędzi „Planet“ wysyłamy.

*Hr. Czar. w Poznańskim.* Dziękujemy serdecznie. Wydrukujemy w czerwcu.

## SPROSTOWANIE.

Na stronie 17 w numerze bieżącym wkładła się omyłka w dacie pod dokumentem z czasów Przemysława, wskutek przedstawienia cyfr powinno być z r. 1294.

## Z dziedziny kosmetyki i higieny.

*I. O. ks. w Petersburgu.* Piegi i plamy znikną po użyciu Kremu Dr. Orglay'a.

*Otyłej W. S.* Herbata Dr. Daloffa jest najskuteczniejszym środkiem na wyleczenie się z otyłości.

*Mimozie.* Węgry leczy się bardzo szybko płynem Vesta.

*Sidonii.* Przy suchej cerze i rysujących się zmarszczkach, cudownie działa Emulsja radiowana i Woda różana. Cera szybko się ożywia i odmładza, zmarszczki momentalnie znikają.

*Zrozpaczonej S. K.* Antrasolowe płynne mydło i Radiol wyleczy sz. panią z łupieżu i włosy pięknie rosnąć będą.

Dla udogodnienia naszym prenum. zamiejscowym Kalo-technika, Marszałkowska 116, obowiązała się wysłać wszelkie środki w tem piśmie wspomniane, za pobraniem pocztowym, po cenach zwykłych.

LENA.

## SPRZEDAŻ, KUPNO I DZIERŻAWY.

Wiadomość bliższa w Redakcji „Wsi Ilustrowanej“ Koszykowa 12.

1) **Sprzedam folwarczek** około Skierniewic przestrzeni 5 włók. Zabudowania, inwentarze żywe i martwe, zasiewy w komplecie. Od kolei 7 wiorst. Wiadomość w Redakcji.

2) **Sprzedam folwark** w gub. Piotrkowskiej przestrzeni 20 włók, w dobrej glebie, na dogodnych warunkach, dwór murowany o 14 pokojach, nowy, zabudowania nowe. Wiadomość w Redakcji.

3) **Sprzedam folwarczek** w powiecie Płońskim przestrzeni 6 włók, w glebie bardzo dobrej, blisko gorzelnia i cukrownia, od kolei trzy mile, potrzeba 16,000. Wiadomość w Redakcji.

4) **Sprzedam majątek** na Wołyniu 1750 dziesięcin, w 5-ciu folwarkach, w ziemi bardzo dobrej, pałac. Wiadomość w Redakcji

5) **Do sprzedania osada** blisko Skierniewic, 10 mórg, odpowiednie na letnie mieszkania. Wiadomość w Redakcji.

6) **Sprzedam dobra** w guberni Siedleckiej przestrzeni 2700 mórg, blisko kolei, pałac, gorzelnia, w kulturze. Wiadomość w Redakcji pod literami W. L.

7) **Sprzedam dwa młyny wodne** (pszenny i żytni) najnowszej konstrukcji, na Wołyniu, w okolicach Dubna, z dużym zapasem wody, wydających do 35 wagonów mąki miesięcznie, ze wszystkimi potrzebnymi zabudowaniami lub puszczą takowe w dzierżawę na dogodnych warunkach. Wiadomość w Redakcji pod lit. W. S.

## NUMER PIĄTY ZAWIERA:

Maj. — Henryka Skirmunta.  
Miesiące. — Helenę Mniszek.  
„Nie opuszczaj nas“. — K. Łaskowskiego.  
Śni mi się... — Wandę Zaleską.  
Magnat. — Red.  
Ochrona przyrody kraju. — Juljana Brunickiego.  
Wyjdź-że, Zosiu, wyjdź przed ganek... — El'a.  
Nad Goptem. — L. Romockiego.  
W majowe rano. — Stanisława Leonarda Kociemskiego.  
W imię kultury. — Eugeniusza Arciszewskiego.

Z Sieradzkiej ziemi. — Józefa Kobierzyckiego (c. d.).  
O maści końskiej. — Wincentego Pola.  
Z toku na tok. — J. Woyniłowicza.  
Naruny. — Kłosa.  
Słonki. — Wołyniankę.  
List chłopca wiejskiego do Bolesława Prusa.  
Pierwszy kongres ras.  
Zywoć i czyni Cymbała. — Kazimierza Wiktora (c. d.)  
Odpowiedzi redakcji.  
OKOŁO STU ILUSTRACJI.

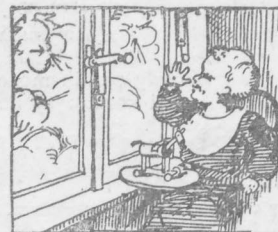
**POWSZECHNE TOW. ELEKTRYCZNE**  
MARSZAŁKOWSKA 130. Własne fabryki w RYDZE. Wszelkie Instalacje Elektryczne. Wielkie Składy materiałów elektr.

Broszury  
i wszelkie  
objaśnienia  
wysyła darmo  
firma



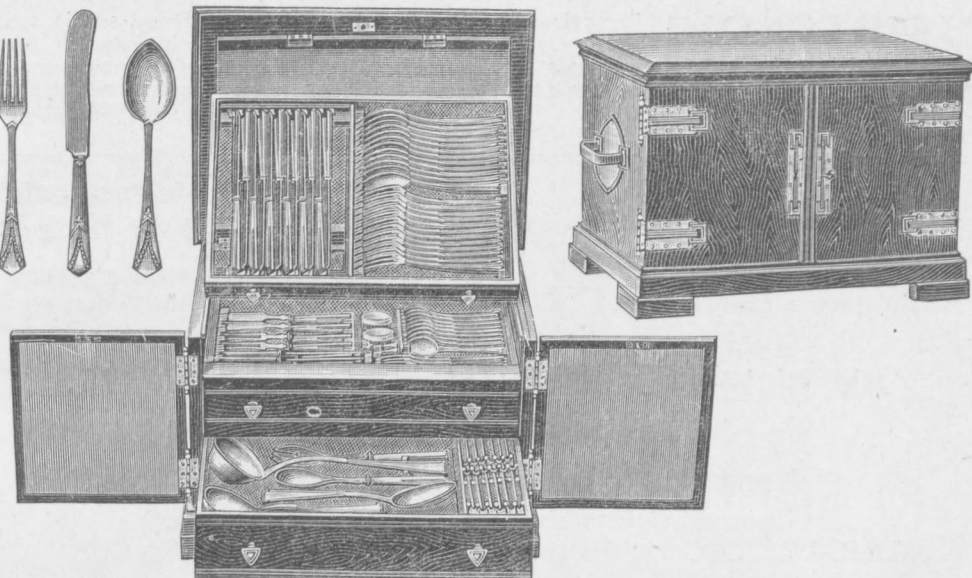
**J. ZABOKRZECKI i S-ka**  
WARSZAWA, ZIELNA № 6.

**Dr. MIECZYŚLAW DOBRZYŃSKI**  
CHOROBY SKÓRNE I WENERYCZNE  
Warszawa, Hoża 40. Telef. 159-99.



**TYLKO** PATENTOWANE  
OKNA HERME-  
TYCZNE SYSTEMU Wróblewskiego  
dają całkiem szczelne zamknięcie NIEZALEŻNIE OD NIEUNIKNIONEGO PĘCZNIENIA I USYCHANIA DRZEWA, a także umożliwiają WENTYLACYJĘ MIESZKANIA przy zamkniętym oknie.  
Adres Reprezentacji Jenerałnej: „OKNO HERMETYCZNE — MINSK“. Oddziały: WARSZAWA — MOSKWA — PETERSBURG





**A. JASKULSKI, Warszawa, Wierzbowa Nr 1**  
 SKŁAD FABRYCZNY I WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ WYROBÓW PLATEROWANYCH  
**Akc. Tow. R. PLEWKIEWICZ i S-ka.**

SZTUĆCE PLATEROWANE NAJNOWSZYCH MODELI.

WIELKI WYBÓR PRZEDMIOTÓW NA DARY  
 I PREZENTY OKOLICZNOŚCIOWE.

WYPRAWY DLA NOWOŻEŃCÓW, HOTELI, RESTAURACJI, KAWIARŃ.

WYROBY Z BRONZU, SREBRA, CENNEGO MARMURU.

PRZYBORY NA BIURKA I TUALETY.

WYROBY KOŚCIELNE.

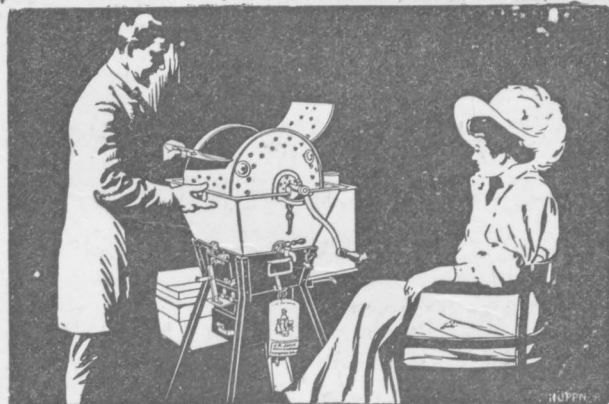
CENNIKI.

**KRAJOWA SPÓŁKA GORZELNICZA**  
**S. hr. TARNOWSKI, ZALEWSKI i S-ka**

WARSZAWA, WŁODZIMIERSKA № 16. TELEFON № 68-02.

Poleca najtaniej wypróbowane:

Artykuły techniczne do oświetlania i ogrzewania spirytusem, Palniki, Lampy i Latarnie  
 podwórzowe, Żelazka, Kuchenki, Piece, Wentylatory  
**oraz SILNIKI SPIRYTUSOWE.**



Żeby ranie zechciały policzyć ile pieniędzy wyrzucają bezprowrotnie na darcie bielizny, piorąc ręcznie i na koszty prania, wiedziałyby ile zaoszczędzają przy pomocy JOHN'A maszyny do prania „Całą Parą”.

**Tow. Akc. J. A. JOHN.**

WARSZAWA, HORTENSYA 7.

MOSKWA, MIASNICZAJA 16.

**GRODZISK**

Zakład leczniczy i Sanatorium

CAŁY ROK OTWARTY.

40 minut od Warszawy kol. Wiedeńska. Ładny park. Kanalizacja. Oświetlenie elektryczne. Najnowsze urządzenia lecznicze. Kuchnia własna dyetetyczna. Ogrzewanie centralne. Choroby nerwowe, przemiany materji, narządów, krążenia przewodu pokarmowego, alkoholicy i morfiniści. Ceny 3.50 do 4.50 kop. dziennie.

Kierownik Zakładu Dr. BRONISŁAW MALEWSKI.

Zakład wyrabia znany z dobroci ekstrakt igliwia sosnowego.

„Dla Młodzieży”

Jednodniówka na rzecz Szkoły im. św. Stanisława Kostki. Do nabycia w redakcji „Wsi Ilustrowanej”. Cena rb. 1.

# JÓZEF METELSKI

WARSZAWA, CHMIELNA № 35. TEL. 152-27

Przygotował na sezon wiosenny i letni: kostjmy, suknie, spódniczki, bluzki, okrycia, palta i żakieta w różnych gatunkach i kolorach. Niezależnie od powyższego przyjmuje się obstalunki z własnych i powierzonych materiałów. GENEY MOŻLIWIE NIZKIE. ZAMÓWIENIA Z PROWINGI USKUTECZNIĄ SIĘ SZYBKO I DOKŁADNIE. UWAGA! ZYGCZĄCYM NA ROZPŁATY MIESIĘCZNE.

**Tekturę asfaltową**  
znanej dobroci i trwałości.

**Roboły asfaltowe**  
wylewanie chodników, dziedzińców, bram,  
tarasów, izolację fundamentów.

**Krycie dachów tekturą asfaltową**  
na listwy, na gładko (bez listew) i podwój-  
ną warstwą (dachy klejone).

**Wyborową smołę gazową**  
i specjalny lak asfaltowy do smar. dachów.

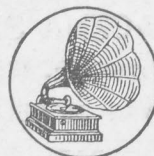
poleca:

**WARSZAWSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO ASFALTOWE**

I FABRYKA TEKTUR

dawniej **Inżyniera SPORNEGO**

Biuro Przedsiębiorstwa w Warszawie  
ULICA SOLEC № 58 (blisko Tamki). TELEFON № 667.



Egzystuje od r. 1859

Skład Instrumentów Muzycznych i Gramofonów

**Jul. FEIGENBAUMA**

Warszawa, Marszałkowska № 153

Poleca wszelkie instrumenty muzyczne, gramofony, płyty ostatnich zdjęć, pianina i fisharmonje pierwszorządnych fabryk.



UDOSKONALONE URZĄDZENIA BIUROWE SYSTEMU AMERYKAŃSKIEGO

poleca

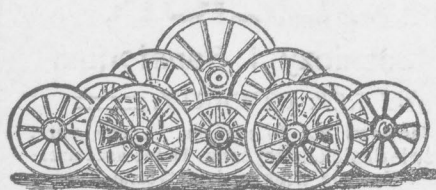
**KAROL F. FIŚER**

WARSZAWA, MAZOWIECKA 10

## Dom bankowy BR. POPŁAWSKI

w Warszawie  
CZYSTA 8 (róg Wierzbowej)

Złatwia wszelkie operacje bankowe na najdogodniejszych warunkach.



Wielki Medal Srebrny na Wystawie w Lublinie 1908 r.  
Złoty Medal na Wystawie w Częstochowie.

SPECJALNA FABRYKA KÓŁ I WOZÓW

**H. WAGNER i S-ka**

WARSZAWA, ULICA ŁUCKA № 11. TELEFON № 62-99.

Koła do karet, powozów, bryczek, platform, wozów i wszelkie inne gwarantowanej trwałości, naciągane na zimno na maszynach hydraulicznych. Nowe wozy kolejne, saskie i półtoraczne, platformy różnych typów.

Cenniki na żądanie gratis i franko.

NOWO OTWORZONY PIERWSZORZĘDNY PENSJONAT  
**ANNY BRYKCYŃSKIEJ**

Warszawa, Hortensja 3. telef. 202-38  
II-gie PIĘTRO, WINDA, ELEKTRYCZNOŚĆ.

ŚRÓDMIEŚCIE.

„Sztuka Prowadzenia Samochodu”

przez Lorda MONTAGU.

Do nabycia w Redakcji „WSI ILUSTROWANEJ”  
po cenie 60 kop. z przesyłką.

## 8-klasowa szkoła filologiczna

Hr. Z. Wielopolskiego

w Warszawie, ulica Bracka 18. Telefon 82-29

utrzymywana przez

**KOŁO im. ŚW. STANISŁAWA KOSTKI**

Od nowego roku szkolnego 1911/12 otwarta będzie klasa 5-ta.

Przy szkole — internat.

Egzamina dla nowowstępujących dnia 29, 30, 31 maja i w czerwcu, a także we wrześniu.

Oplata za naukę: od I—IV kl. rb. 100 rocznie, od kl. V rb. 120; natomiast w kl. wstępnej rb. 60 rocznie.

Przełożony szkoły  
**ADAM JACZYNOWSKI.**



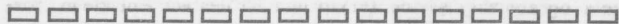
Nowości  
SEZONOWE

**T. FERTNER i S<sup>KA</sup>**  
WARSZAWA!  
Nowy-Swiat 63, tel. 21-69.

**MAGAZYN  
BIELIZNY I KONFEKCI  
MĘSKIEJ**

Egzystuje od roku  
**1875.**

KOSZULE, KOŁNIERZYKI, KRAWATY, KAMIZELKI,  
MANKIETY, CHUSTKI, SPINKI, SKARPETKI, CZAPKI,  
LASKI, PARASOLE, SZEŁKI, RĘKAWICZKI, KALE-  
SONY, TRYKOTAŻE, PODWIĄZKI.



## GOTUJ na ZAPAS

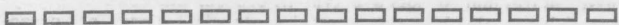
we właściwym  
sezonie w konserwatorze  
J. WECK'A groszek zielony, szabelbon, **szparagi**, wszelkie jarzyny, **owoce**,

nawet **kuropatwy** i zwierzynę, a **przez całą zimę** mieć je będziesz **świeże**, tanio na każde zawołanie.

# Krzysztof Brun i Syn

W WARSZAWIE,  
Plac Teatralny.

Cenniki na żądanie franko i gratis.



**OSTATNI WYRAZ UDOSKONALENIA!**

**KOSIARKI, ŻNIWIARKI, ŻNIWIARKO-WIĄZANKI  
I GRABIE KONNE CAŁOSTALOWE**

FABRYKI KANADYJSKIEJ

## „Massey Harris”

najwięcej rozpowszechnione i znane  
ze swej praktyczności i trwałości.  
oraz

Szpagat „Manilla” do Samowiązalek  
jak również

**LOKOMOBILE I MŁOCARNIE PAROWE**  
ANGIELSKIEJ FABRYKI

**Robey & Co Ltd. Lincoln**

Poleca DOM ZBOŻOWO-ROLNY

## ROMUALD PIĘTKA

Warszawa, Hr. Berga Nr. 3.

# 40-te Zwyczajne Zgromadzenie Ogólne AKCJONARIUSZÓW WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA UBEZPIECZEŃ OD OGNIA.

Na zasadzie § 46 Ustawy Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia, odbyło się w dniu 7 Kwietnia (25 Marc) r. b. 1911, o godzinie 2-ej po południu, w Warszawie, w biurze Dyrekcji, w domu przy ulicy Krakowskie Przedmieście № 7, czterdzieste Zwyczajne Zgromadzenie Ogólne Akcjonariuszów.

Po spr.wozdaniu listy obecności przez Delegację Rewizyjną, okazało się, że obecni reprezentują 5,631 akcji (na ogólną liczbę 8,000), wobec czego zebranie posiada moc prawną.

Zebranie zagał Prezes Towarzystwa **Leopold baron Kronenberg**, którego też przez aklamację zaproszono do przewodniczenia obradom.

Zaprosiwszy na asesorów p. **Marjana Sokołowskiego** i **Szymona Methala**, a na sekretarza p. **Bolesł. Lutostańskiego**, baron Kronenberg przedstawił obraz działalności Towarzystwa w ciągu roku 1910 oraz w ciągu ubiegłego 40-lecia — w następującej przemowie:

## PANOWIE!

„Ogólne wyniki działalności Towarzystwa w roku ubiegłym 1910 były pomyślne i z wynikami roku poprzedniego prawie jednoznaczne. Zbiór premii brutto zwiększył się o rb. 139,184 i osiągnął cyfrę rb. 7,060,357, z których na ratunek reasekuratorów przypada rb. 3,463, 077, zaś na własny rachunek rb. 3,597,279. Z ogólnego zbioru premii, przypada na retrocesje zagraniczne i rosyjskie rb 2,595,149, czyli mniej o rb. 45,751, niż w roku 1909, zaś na interes nasz bezpośredni rubli 4,465,207, czyli więcej o rb. 184,935 — niż w roku poprzednim. To zwiększanie się bezpośrednich naszych operacji uważać musimy za objaw o tyle, dodatni, że w obec polepszenia się warunków działalności asekuracyjnej, taryfa, przedtem z konieczności podwyższona, uległa dość znacznemu w niektórych działach obniżeniu i po dokładnym zestawieniu danych statystyki ogólnej, zapewne jeszcze dalej obniżaną będzie. Jeżeli więc, pomimo obniżenia taryfy, zbiór premii zwiększył się, jak wyżej, o rb. 184,935, to wynik taki dowodzi, że operacja bezpośrednia znajduje się w stanie dalszego rozwoju i ujawnia się w pozyskiwaniu coraz to większej ilości nowych ubezpieczeń. Pod względem szkód pogorzeliowych ilość ich w porównaniu z r. 1909 jest nieco większa, wszakże ich natężenie znacznie się zmniejszyło; albowiem z liczby 2,160 wypadków pożaru wynagrodzenie za stratę z pogorzeli w żadnym razie nie osiągnęło sumy rb. 80,000 i tylko w trzech wypadkach przekroczyło sumę 50.000 rubli. Ogółem wynagrodzenie za szkody z pożaru, łącznie z rezerwą za szkody jeszcze nieuregulowane wynosi rubli 4,433,562 — z których na rachunek Towarzystwa przypada rubli 2,272,637, czyli na 100 rb. premii 63,2% zaś na rachunek reasekuratorów rubli 2,160,924, czyli 62,4%. Rozpatrując szkody pogorzeliowe bardziej szczegółowo, pod względem okolic, z których one pochodzą, otrzymamy rezultat następujący: Na 100 rb. pobranej premii wypłacono za straty pogorzeliowe: w Królestwie rb. 60,4, w Cesarstwie 73,1, z retrocesji rosyjskich 47,6, z retrocesji zagranicznych 58,6, ogółem z całego interesu 62,8. Jeśli zaś rozpatrywać będziemy szkody pogorzeliowe pod względem kategorii ubezpieczeń, to okaże się, że na każde 100 rb. pobranej premii w interesie bezpośrednim, pogorzele pochłonęły: w dziale rolnym 85,2, w dziale przemysłowym 47,2, w dziale zaś towarowym i miejskim 64,5. Z zestawień powyższych jest widoczne, że retrocesje zagraniczne i rosyjskie, oraz Królestwo, jak również dział przemysłowy i miejski, zaznaczyły się dodatnimi dla nas rezultatami, gdy tymczasem dział rolny, zwłaszcza na Rusi, wyrządził nam pewne straty. Musimy przytem nadmienić, że ogół Towarzystw rosyjskich pracował w r. z. również z pomyślnymi wynikami, skutkiem czego wspomniane już wyżej obniżenie taryfy dla niektórych kategorii ubezpieczeń fabrycznych może być uważane za uzasadnione. Na taki stan rzeczy wpłynęło bezwątpienia ogólnie polepszenie się warunków ekonomicznych i społecznych; przesadzać jednak nie możemy, czy polepszenie to będzie trwałe na dłuższy okres czasu. Z tego też względu zachować musimy i nadal możliwą oględność w wyborze ryzyk i stosowaniu taryfy. W dalszym objaśnieniu rozdanego Panom sprawozdania, zaznaczamy, że czysty zysk osiągnięty w r. z. wynosi rb. 529,637,84, w czem zysk z operacji czysto asekuracyjnych stanowi rb. 221,788, czyli przeszło 6% od premii na własny rachunek Towarzystwa zatrzymanej, reszta zaś pochodzi z przeniesienia pozostałości zysków roku poprzedniego z czystego dochodu z majątku Towarzystwa, wreszcie z ogólnego przeszacowania wartości papierów publicznych. Z powyższych zysków przelewamy przedewszystkiem rb. 259.004 do rezerwy premii, która tym sposobem, razem z już odłożoną rezerwą, wyniesie ogółem rb. 2,615,222 i stanowić będzie 72,4% premii na własny rachunek zatrzymanej. Jestto wprawdzie suma poważna, lecz procentowo nie osiągnęła jeszcze wysokości lat dawniejszych. To też stałem dążeniem naszym jest

wzmacnianie tej właśnie kategorii środków zapasowych, która stanowi najwymowniejszy wykładnik solidności Towarzystwa. Z pozostałych zysków, po zaspokojeniu obowiązkowych i niezbędnych wypadków, proponujemy Panom wydzielenie dywidendy w stosunku 15%, czyli rubli 18,75 od akcji, dalej zasilenie funduszu wdów i sierot po urzędnikach Towarzystwa kwotą rb. 5.000; wreszcie wyznaczenie zapomogi dla Instytucji Dobroczynnych w sumie rb. 7.500. Po zatwierdzeniu przez Was, Panowie, tegorocznego sprawozdania i bilansu, ogół funduszu Towarzystwa przedstawi się w cyfrach okrągłych, jak następuje:

W kapitale zakładowym . . . . .	rb. 1.000.000
W kapitale zapasowym . . . . .	500.000
W funduszu na pokrycie różn. kursu pap. publ. . . . .	28.900
W funduszu na umorzenie wartości domów . . . . .	25,300
W rezerwie premii — normalnej . . . . .	1.438.900
W rezerwie premii — dodatkowej . . . . .	1.178.300
W funduszu na umorzenie aktów niepewnych . . . . .	221.110
W rezerwie na nieuregulowane pogorzele . . . . .	523.700
Razem . . . . .	rb. 4,916,200

„Na zakończenie pragniemy podać Panom nieco ogólnych danych o działalności Towarzystwa za czterdziestolecie jego istnienia, które, jak wiadomo, upłynęło w dn. 1 października r. z. W tym okresie czasu Towarzystwo wydało 1.691.300 polis na ubezpieczenie wszelkiego rodzaju budowli, machin, towarów i ruchomości. Zbiór czystej premii, tak z bezpośredniego interesu, jak i z reasekuracji od Towarzystw rosyjskich i zagranicznych, wyniósł w cyfrze okrągłej 122.352.000 rb. — za szkody zrządzone przez pogorzele wypłacono rb. 84.493.200. Prowizja wypłacona Agentom z interesu bezpośredniego uczyniła rb. 12.481.500, zaś Towarzystwom reasekuracyjnym za przekazany nam ich interes rb. 4.735.500; natomiast prowizja, otrzymana od Towarzystw reasekuracyjnych za przekazany im nasz interes, wyniosła rb. 15.410.000. Ogólne koszty administracji (prócz prowizji agentów), t. j. podatki, utrzymanie całego składu biura w Centrali i oddziałach, lokal i t. p. stanowiły rb. 10.662.400 — co w stosunku do premii ogólnej wynosi 8,8%, zaś w stosunku do premii na własny rachunek zatrzymanej 22½%. — Suma wypłaconej akcjonariuszom dywidendy uczyniła 3.873.000 rubli, czyli przecięciowo 9,7% rocznie od wpłaconego kapitału. Operacje Towarzystwa, które pierwotnie ograniczyły się do terytorjum Królestwa Polskiego, rozciągnęły się stopniowo na cały obszar Rosji Europejskiej do Uralu i grzbietu gór Kaukazkich, i skupiają się obecnie w jedenastu Reprezentacjach i Agenturach Głównych Cesarstwa, działających przy pomocy blisko 500 agentów. Niezależnie od tego, w Królestwie czynnych jest przeszło 150 agentów, nie licząc w to akwizytorów. Siły nasze reasekuracyjne, pierwotnie bardzo szczupłe, rozwinęły się dziś w sposób zupełnie zadowalający i potrzebom Towarzystwa odpowiedni. Składają się na nie pierwszorządne Instytucje asekuracyjne tak rosyjskie, jak i zagraniczne, głównie zaś angielskie, niemieckie, austriackie i francuskie. Początkowo Towarzystwo nasze nie miało żadnego udziału w interesie innych Towarzystw, — obecnie przyjmuje ono reasekurację od 4-ch Towarzystw rosyjskich i 13 zagranicznych, czerpiąc z tego źródła zysk dość poważny, który w epoce niedawnych przesileń pokrywał nieraz niedobory interesu bezpośredniego. Niezależnie od powyższych Towarzystw, rozszerzamy działalność naszą i na Amerykę, do czego upoważniliście nas Panowie uchwałą świeżo powziętą na Nadzwyczajnem zebraniu akcjonariuszów. Wystąpiliśmy w tym względzie do władz właściwych i w oczekiwaniu na ich decyzję rozpoczęliśmy już pertraktacje z pierwszorzędnymi Towarzystwami angielskimi co do przyjmowania od nich reasekuracji. Co się tyczy stopniowego rozwoju interesów Towarzystwa, ten zawarty jest w osobnym wykazie, z którego między innymi okazuje się, że kiedy w pierwszym sprawozdaniu, za 15 miesięcy działalności Towarzystwa, ogólny zbiór premii wyniósł 4,700,000 rubli, obecnie cyfra ta wzrosła do przeszło 7 milionów za rok zeszyły, czyli powiększyła się blisko 20 razy.

„Jednocześnie z jubileuszem naszego Towarzystwa, upływa 40 lat, jak rozpoczął pracę w naszej instytucji zasłużony nasz Dyrektor Zarządzający, Andrzej Świętochowski.

Czcigodny Jubilate! Szczęśliwy jestem, iż daną mi jest możliwość, w imieniu współwłaścicieli naszego Towarzystwa i Twoich Kolegów, złożenia Ci wyrazu gorącego uznania za długoletnią Twoją tak sumienną pracę i całkowite oddanie się na usługi Towarzystwa. Działalność Twoja nie zamyka się w ciasnych granicach materialnego interesu, lecz nacechowaną była staraniem o ściśle z tym interesem związane cele obywatelskie, cele, które zawsze cieszyły się i cieszą się szczególną opieką Zarządu Towarzystwa:

Przedmiotem bacznej Twojej uwagi był zawsze los naszych współpracowników. — Jestem głęboko przekonany, a mamy tego dowody, że umiemy oni oceniać troskliwą Twoją o nich pieczę. W imieniu więc całego gremjum naszego Towarzystwa, składam Ci, Czcigodny Jubilate, najserdeczniejsze życzenia, abyś przez długie jeszcze lata mógł pracować dla dobra naszej instytucji i naszego społeczeństwa!

Z kolei odczytany został protokół Komisji Rewizyjnej, poczem Ogólne Zebranie zatwierdziło jednomyślnie sprawozdanie, bilans i podział zysków z r. 1910.

Z powodu ukończenia kadencji Członka Dyrekcji p. Sa-

muela Dicksteina, dopełnione zostały wybory przez tajne głosowanie kartkami. Po obliczaniu oddanych głosów, okazało się, że p. Samuel Dickstein wybrany został ponownie na członka Dyrekcji na następne pięciolecie.

Dopełniane podobnie tajnym głosowaniem wybory powołany dotychczasowy skład członków Delegacji Rewizyjnej, którą stanowią pp.: Henryk Dynowski, Stefan Dziewulski, Jerzy Meyer, Szymon Neuman i Piotr Wertheim.

Następnie Ogólne Zebranie zatwierdziło jednomyślnie projekt etatu wydatków na r. 1911, w ogólnej sumie rb. 565.000, z możliwością przenoszenia oszczędności z jednych pozycji na drugie.

## Sprawozdanie Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia

za czterdziesty rok działalności (od dnia 1 stycznia do dnia 31 grudnia 1910 roku włącznie).

PRZYCHÓD.

ROZCHÓD

	Ruble i kopiejki			Ruble i kopiejki	
1. Pozostałość zysku z roku 1909 . . . . .		4 185 93	1. Zaspokojone szkody z pogorzeli w ciągu roku sprawozdawczego rb. 3,756,687 k. 82		
2. Premje rezerwowe od ubezpieczeń z r. 1909 na udział Towarzystwa . . . . .	1 882 290 12		Rezerwa na pokrycie wynagr. zaszki w r. 1910 nieuregulowane rb. 676,875 k. —	4 433 562 82	
Dochodzi odpisane z R-ku zysków 1909 r. . . . .	425 230 65	2 307 520 77	Po potrąceniu udziału reasekuracyjnego	2 160 924 97	2 272 637 85
3. Premje zebrane w roku 1910 . . . . .	7 060 357 04		2. Premje rezerwowe na własny rachunek Towarzystwa zatrzymane od ubezpieczeń z końcem r. 1910 nieupłynionych . . . . .		2 356 217 95
Po potrąceniu przekazanych w reasekurację . . . . .	3 463 077 72	3 597 279 32	3. Prowizja wypłacona od ubez. przyjętych		1 463 710 96
4. Prowizja od ubezpieczeń oddanych w reasekurację . . . . .		770 808 95	4. Koszty administracji . . . . .		470 051 04
5. Dochód z nieruchomości i kapitałów Tow. . . . .		303 663 35	5. Na Kasę Przejrzystości i Pomocy . . . . .		6 510 89
6. Opłata na koszty polis i portorji . . . . .		54 682 49	6. Gratyfikacja urzędników Towarzystwa . . . . .		32 000 —
7. Przewyżka na korzyść Towarzystwa osiągnięta z rezerwy na pokrycie wynagrodzeń za nieuregulowane pogorzele po 31 Grudnia 1909 r. . . . .		54 114 83	7. Zysk osiągnięty . . . . .		491 126 95
		7 092 255 64			7 092 255 64
			Z powyżej osiągniętego zysku, wynoszącego . . . . .		491 126 95
			Dopisano na rezerwę premji . . . . .		259 004 11
			Z pozostałych zaś . . . . .		232 122 84
			<b>Przeznaczono:</b>		
			Na podatek przemysłowy . . . . .		27 011 17
			" dywidendę 15%, czyli po rb. 18 k. 75 od akcji . . . . .		150 00 —
			" wynagrodzenie Członków Dyrekcji . . . . .		25 979 8
			" tantjeme Dyrektora Zarządzającego . . . . .		8 131 06
			" tantjeme Pomocnika Zarządzającego . . . . .		4 067 03
			" Zasiłek dla wdów i sierot po urzędnikach T-wa . . . . .		5 00 —
			" Instytucje dobroczynne . . . . .		7 500 —
			Do przeniesienia na rok 1911 . . . . .		4 431 10
			<b>Razem</b>		<b>232 122 84</b>

Uwaga. Sprawozdanie szczegółowe otrzymać można bezpłatnie w biurze Dyrekcji w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 7.

## BILANS

w dniu (18) 31 grudnia 1910 roku.

STAN CZYNNY.

STAN BIERNY.

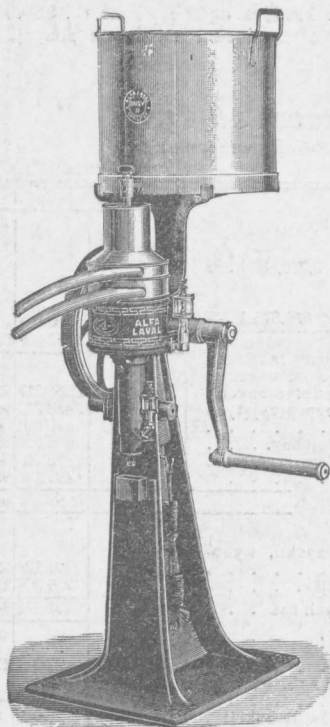
	Ruble i kopiejki			Ruble i kopiejki	
1. Kasa . . . . .		13 727 13	1. Kapitał zakładowy:		
2. Instytucje Kredytowe:			Rb. 2,000,000 na poczet którego wniesiono, stosownie do § 18 Ustawy, 50% czyli po rb. 125 na 8,000 akcji . . . . .		1 000 000 —
Bank Handlowy w Warszawie . . . . .	333 206 14		2. Kapitał Zapasowy . . . . .		500 000 —
Oddział Banku Handlow. Warsz. w Petersburgu . . . . .	30 744 —		3. Fundusz na pokrycie różnicy kursu papierów publicznych . . . . .		28 914 08
Oddział Banku Handlowego Warsz. w Łodzi . . . . .	46 928 48		4. Fundusz na ułożenie aktywów niepewnych . . . . .		221 074 —
Oddział Międzynarodowego Banku w Kijowie . . . . .	53 527 —		5. Fundusz na umorzenie wartości domów . . . . .		25 309 75
Bank Kupiecki w Moskwie . . . . .	50 780 31	515 185 93	6. Premje rezerwowe na udział Towarzystwa . . . . .		2 356 217 95
3. Papiery publiczne z kuponami bieżącymi . . . . .		3 283 491 69	7. Rachunek nieuregulowanych pogorzeli na udział Towarzystwa . . . . .		523 754 —
4. Nieruchomości: . . . . .		568 291 99	8. Rezerwa premji, przypadająca Tow. ubez. . . . .		341 819 62
5. Pożyczki hipoteczne . . . . .		227 000 —	9. Dywidenda niepodniesiona . . . . .		515 —
6. Rezerwa premji należna od Tow. Ubezpieczeń . . . . .		451 967 49	10. Podatek Skarbowy:		
7. Dłużnicy:			Pozostałość opłaty Skarbowej za 1909 r. . . . .		361 952 06
a) Reprezentacje i Agenci Towarzystwa . . . . .	1 290 065 03		Pobrano w roku 1910 rb. 267,425 k. 91		
b) Towarzystwa Ubezpieczeń . . . . .	304 876 50		Na to wniesiono do Kasy Gubernialnej Warszawskiej w ciągu roku 1910 . . . . .	325 374 72	36 577 34
c) Różne należności . . . . .	96 199 93	1 691 141 46	11. Opłata stemplowa:		
8. Papiery procentowe i akcje, stanowiące kaucje:			Pozostałość opłaty Stempl. za 1909 rok . . . . .		73 412 15
a) Dyrektorów Towarzystwa . . . . .	100 000 —		Pobrano w roku 1910 rb. 54,912 k. 65		
b) Agentów Towarzystwa . . . . .	139 925 —		Na to wniesiono do kasy Gubern. Warszawskiej w ciągu roku 1910 . . . . .	72 259 85	1 152 30
9. Papiery procentowe Kasy „Przejrzystości i Pomocy“ . . . . .		228 000 —	12. Opłata na rzecz Komitetu ubezpieczeń . . . . .		2 617 86
		7 218 73 69	13. Wierzyciele:		
			a) Towarzystwa Ubezpieczeń . . . . .	627 011 55	
			b) Późni . . . . .	483 832 49	1 110 844 04
			14. Rachunki do uregulowania . . . . .		110 881 91
			15. Kaucje:		
			a) Dyrektorów Towarzystwa . . . . .	100 000 —	
			b) Agentów Towarzystwa . . . . .	139 925 —	239 925 —
			16. Kasa „Przejrzystości i Pomocy“ . . . . .		228 000 —
			17. Zyski i Straty . . . . .		491 126 95
			<b>Razem</b>		<b>7 218 730 69</b>

Warszawa, d. (11) 24 Lutego 1911 r.

Prezes Towarzystwa: *Baron Leopold Kronenberg.*  
Dyrektorowie: *Kazimierz Natanson, Samuel Dickstein, Józef Dziekoński, Stanisław Rotwand, Leon Grabowski, Michał Tabęcki.*

Dyrektor Zarządzający interesami Tow.: *Andrzej Świętochowski.*  
Pomocnik Zarząd.: *Paweł Górski.* Zastępca: *Aleksander Czajewicz.*  
Buchalter: *Fr. Chróścielewski.* Kasjer: *Jan Gawroński.*

**900** NAGRÓD, WYŁĄCZNIE  
PIERWSZYCH.



**1,050,000** MASZYN  
W UŻYCIU.

SZWEDZKIE WIRÓWKI

**„ALFA-LAVAL”**

za najdokładniejsze odtłuszczanie, cichy i lekki chód, łatwość czyszczenia i rozbierania, nieskomplikowaną budowę i precyzyjne wykończenie otrzymały

**900 najwyższych nagród.**

**Wirówki „DOMO”**

DLA UŻYTKU DOMOWEGO i DLA WŁOŚCIAN

Przerabiają od 40 — 300 litrów

Cena od 28 — 100 rubli

**GWARANCJA 3-letnia za dobroć działania**

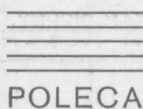
Stale na składzie wszelkie artykuły w zakresie mleczarstwa i HODOWLI wchodzące.

BIURO TECHNICZNO-MLECZARSKIE

**MICHAŁ JASIŃSKI I S-ka**  
Warszawa, Krak.-Przedm. 7, (w podwórzu).

KATALOGI ILLUSTROWANE — GRATIS I FRANCO.

NOWOŚCI WIOSENNE



POLECA

**ALOIZY LUDWIG**

Skład główny MARSZAŁKOWSKA 130. Telefon 28-63

i nowo otworzona w okolicy PLACU ZBAWICIELA

Filja: MARSZAŁKOWSKA 50. Telefon 35-55.

Przewyższa pod względem wartości odżywczej wszystkie buljony mięsne.

**LACTO**

Buljon z ekstraktu mlecznego

**„LACTO” ROZENTOWO.**

posiadający smak buljonu mięsnego

**ROZENTOWO**

Niezbędny dla osób, którym szkodzi używanie mięsa, lub nie znoszących zwykłego mleka.

Dla wszystkich zdrowy, smaczny, tani. Żądać wszędzie.

**WYŁĄCZNIE PRODUKT MLECZNY.**

Ważne dla letników i podróżujących. Bardzo pożywny pokarm podczas dni postnych i dla cierpiących na artretyzm, podagrę, reumatyzm, tuberkulę, chorobę cukrową, nerwkową, pęcherza i t. d. „Z JEDNEJ KOSTKI — 4 KOP. — OTRZYMUJE SIĘ W MINUCIE SZLANKĘ NAJDELIKATNIEJSZEGO BULJONU”

Lacto Rozentowo można także przyprawić z ugotowanym ryżem, tapioką, kaszą i t. d. Rozpuścić potrzebną ilość Lacto w trochę wody gorącej i dodawać do wszystkich potraw mącznych, jarzyn, sosów, pieczeni, zup, kartofli i t. d., a nabiorą wysmienitego smaku.

Lacto Rozentowo zwiększa apetyt. Bliższych informacji udziela i wydaje bezpłatnie względnie franco wysyła broszurki B, zawierające szczegółowy opis o Lacto, kopje świadectw oraz analiz główny skład na Królestwo Polskie.

**A. SZMOLKE**

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 149, TELEFON 42-71.

KRAJOWA  
FABRYKA  
TYTUNIOWA  
**UNION**  
KOŁODZIEJSKIEGO i FILIPOWSKIEGO  
w Warszawie,

POLECA PAPIEROSY:

FURORA 100 szt. Rb. 1.00 w pudełk. po 100, 25 i 10 szt.  
BAJECZNE „ „ Rb. 0.60 „ „ „ „ „ „  
ERA „ „ Rb. 0.60 „ „ „ „ „ „

Skład Główny: Nowy-Świat N° 31, Telefon 5-33.

KRAWIEC MEZKI

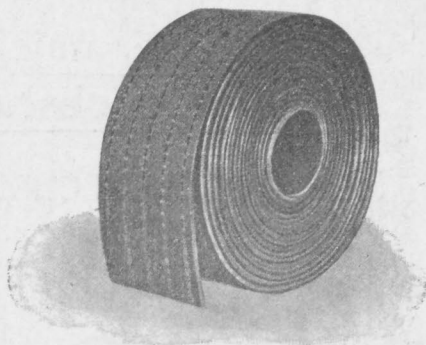
**PIOTR BORKOWSKI**

UCZEŃ HOFMANA W WIEDNIU.

ZÓRAWIA 29. TELEFONU N° 94-90.

Najlepszy krój. Wykończenie roboty solidne i ściśle terminowe. Wielki wybór materiałów zagranicznych i krajowych.

==== CENY NIZKIE. ====



Towarzystwo Akcyjne Fabryki Garbarskiej

**TEMLER i SZWEDE**

W WARSZAWIE.

Poleca znane ze swej sprawności **pasy** do dynamo-maszyn, lokomobil, tartaków i wszelkiego przemysłu rolnego.

**Skóry** pasowe, mastrychtowe i blankowe na uprząż.

Adres dla depez: **TEMLERSZWEDE — WARSZAWA.**

Cenniki i próby na żądanie gratis i franco.

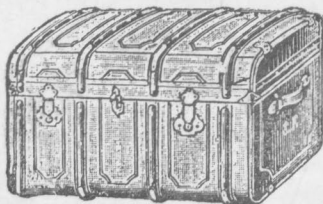


**Stanisław Krause i S-ka**

Warszawa, Królewska 1.

Przybory podróżne i sportowe.

Jedyna w kraju fabryka kufrów trzciniowych.



**ZAKŁAD ORTOPEDYCZNO-CHIRURGICZNY i ZANDEROWSKI**

D-rów W. ŁAPIŃSKIEGO i W. REKLEWSKIEGO  
ALEJA JEROZOLIMSKA N° 65, Telefon N° 20-22.

Choroby kręgosłupa (skrzywienia, garby) stawów, kości, mięśni, nerwów, przemiany materji (artretyzm i t. p. Mechanoterapia (przyrządy motorowe), gimnastyka lecznicza, przyrządy do leczenia elektryczno-swietlnego i gorącym powietrzem.

ŻĄDANIE OSTATNIA NOWOŚĆ PERFUMY

**HA-NA-KO**

TWA S. J. CZEPIELEWIECKI i SWIE MOSKWA

## Pierwsza Warszawska Fabryka PALENIA KAWY

### „PLUTON”

POLECA: Kawę bez kofeiny H. A. G. dla chorych na serce lub nerwowych po 90 kop. 1 rb. 1 rb. 20 kop za funt.

Kawę KILIMANDJARO o wyjątkowo silnym zapachu i smaku po 1 rb. 50 kop. za funt.

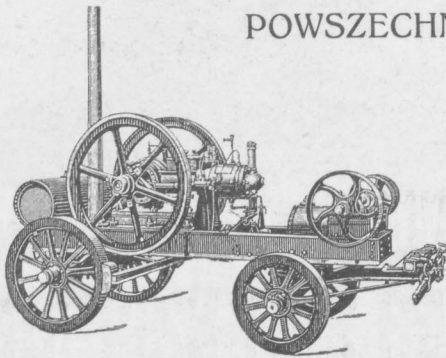
Kawy CEYLOŃSKIE, MOKKĘ, JAWĘ i inne w cenie od 80 kop. do 1 rb. 20 kop. za funt.

Zamówienia 10 funtowe franko.

Adres: **Warszawa, ulica Żytnia № 10.**

Najtańsze, najekonomiczniejsze, nie wymagające obsługi i pewne w działaniu.

POWSZECHNIE UZNANEJ DOBROCI



## MOTORY „URSUS”

pędzone za pomocą ropy, nafty, spirytusu *warwar* lub gazu ssanego. *warwar*

## LOKOMOBILE ropowe

dla gospodarstw wiejskich zaszczycone ogólnym uznaniem licznych naszych odbiorców.

TOWARZYSTWO UDZIAŁOWE SPECJALNEJ FABRYKI

## ARMATUR i MOTORÓW „URSUS” W WARSZAWIE.

Adres telegraficzny: „WARSZAWA—URSUS”.

### NOWE WARUNKI POLISOWE.

- Termin ulgowy w opłacie premii — trzymiesięczny.
- Nieuiszczenie premii w terminie ulgowym skutkuje automatyczną redukcją, czyli czyni polisy T-wa które już trwały 3 lata — nieumarzalnymi. c) Po roku, polisy T-wa w razie śmierci ubezpieczonego są bezporemi.
- W razie śmierci ubezp. w pojedynku, kapitał płatny jest o ile umowa trwała rok jeden, w razie samobójstwa o ile trwała 3 lata. e) Ubezpieczeni mają prawo swobodnego podróżowania po całym świecie.

Kapitał zakładowy oraz rezerwowy przeszło 5.500.000 rubli.

BIURO DYREKCJI:  
WARSZAWA, MAZOWIECKA 22  
(pałac L. Kronenberga).

Agentury we wszystkich miastach Królestwa i Ces.  
Taryfy i prospekty na żądanie — bezpłatnie.

Pierwsze Krajowe T-wo Ubezpieczeń  
„PRZEZORNOSĆ”  
Ubezpieczenia na życie i od następstw wypadków



WIENI.

BUDAPESZT.

BERLIN.

**Leopold KOCH, Warszawa****Miodowa 2, róg Senatorskiej. Telefon № 35-54.**NAJWYKWINTNIEJSZE GOTOWE UBIORY MĘSKIE  
I DLA MŁODZIEŻY, JAK RÓWNIEŻ I NA OBSTALUNKI.**AMERICAN TAILOR DEPARTAMENT.**

OBSTALUNKI W NAJSUBTELNIEJSZYM DOPASOWANIU.

FABRYCZNY SKŁAD PORCELANY

**„ĆMIELÓW”**

W WARSZAWIE,

ul. MARSZAŁKOWSKA Nr 124 (gm. T-wa „Rossja”).

**Poleca w wielkim wyborze po cenach fabrycznych:**

Porcelanowe stołowe serwisy (na zamówienie z herbami). ↻ Garnitury do herbaty i kawy. Garnitury na umywalnie. ↻ Kryształ z fabryk francuzkich i czeskich. ↻ Majolikę i terrakotę.

**Inż. Cer. JÓZEF CIESZEWSKI**

BIURO TECHNICZNE DLA PRZEMYSŁU CERAMICZNEGO

WARSZAWA  
NOWOSENATORSKA 8.**BUDOWA CEGIELNI,  
FABRYK CEMENTU****I WAPNA.****DOSTAWA MASZYN.****W. URBAŃSKI**

WIERZBOWA 2

*dawniej F. BOBROWSKI i URBAŃSKI*

SPECJALNY MAGAZYN BIELIZNY DAMSKIEJ I MĘSKIEJ

Wyprawy damskie od skromnych do najwykwintniejszych

BLUZKI, OSTATNIE NOWOŚCI W NIEBYWAŁYM WYBORZE.

**WASILEWSKI i S-ka****KRAJONOWANY KANTOR KOMISOWY,**

MARSZAŁKOWSKA 123 — TELEFON 31-94.

Kupno i sprzedaż majątków ziemskich, domów, placów. Dzierżawy, lokata kapitałów. Rekomendacja nauczycielek, cudzoziemek, farmaceutów, oficjalistów rolnych.

**GRACJAN BRZEZIŃSKI**

Ś-to Krzyska 15 (wprost Włodzimierskiej).

Kufry, Walizy, Nesesery, Galanterja Skórzana, Obuwie ciepłe i letnie, Kalosze. — Wyroby własne.

**50% OSZCZĘDNOŚCI OPAŁU**patent. MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA usuwa wilgoć,  
oraz Piece żelazne multiplikatorowe.

Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż., Warszawa, Al. Jerozolimska 71, tel. 15-02.

**Dla miłośników fotografii!**

Aparaty fotogr. „Lumen“ składane do klisz szklany h i błon 9×12 z objekt. silnym achrom. dającym ostre zdjęcia, kasetka podw., migawka na moment i czas, po niskiej cenie rb. 7,50, takż z kompl. przyb. i obszern. podręczn. rb. 11. „Sport“ najnowszej budowy z franc. objekt. „Special Aplanat F. 8“, djafragma „Iris“, z 3 kasetami rb. 11,50, z kompl. przyb. rb. 15. Poleca jedynie

**Z. SEID, Warszawa, Marszałkowska 89.**

Na prowincje za zaliczeniem.

## NOWOŚCI

WIOSENNE  
W DZIAŁACHWEŁN  
JEDWABI  
BAWEŁN  
PRZYBRAŃOKRYĆ  
KOSTJUMÓW  
SUKIEN  
BLUZEK

polecają

Bracia JABŁKOWSY

WARSZAWA

23 Bracka 23.

WYSYŁKA PRÓB KATALOGÓW  
i ZLECENIĘ ponad Rb 12 DEZPLATNAMedal złoty na wystawie 1910 r. w Krzyworożu (O. W. D)  
Dyplom uznania na wystawie Rybackiej w 1910 r. w Warszawie.

TOWARZYSTWO HANDLOWE

## Hr. St. LEDÓCHOWSKI i S-ka

Warszawa, Nowo-Sienna № 1e (róg pl. Wareckiego)

Telefon Nr 72-35.

## WYRÓB SIATKI JEDNOLITEJ METALOWEJ

(MÉTAL DÉPLOYÉ)

Jednolita Siatka metalowa (Métal Déployé) wyrabia się z blachy żelaznej dowolnej grubości od 1/2 do 6 m/m przy różnych wymiarach oczek.

Jednolitą siatkę zastosowywa się wszędzie zamiast drucianej, gdyż jest znacznie mocniejszą, trwalszą, efektywniejszą i tańszą.

Zagranicą prawie już nie używają siatki drucianej tylko jednolitą, gdyż ta ogólnie uznana została za najpraktyczniejszy wynalazek w dziedzinie siatek metalowych.

Jednolita siatka jest jedynym materiałem do budowy betonowych sklepień, arkad, kanałów, gdyż jest elastyczną i pozwala układać się w żądane formy.

Jednolita siatka wyróżniona została najwyższymi nagrodami na wszystkich ostatnich wystawach wszechświatowych, a mianowicie: w Paryżu 1900 r. Grand Prix, 2 medale złote i 2 medale srebrne, w Brukseli 1897 r., medal złoty i medal srebrny, w Glasgowie (Anglja) 1897 r. medal złoty, w Newcastle (Anglja) 1896 r. medal srebrny i wiele innych.

PRZYJMUJE SIĘ WSZELKIE ŚLUSARSKIE ROBOTY, Z ZASTOSOWANIEM SIATKI JEDNOLITEJ METALOWEJ, JAK TO OGRODZENIA POŁÓWU, OGRODÓW i t. d., NA KTÓRE KOSZTORYSY, RYSUNKI WYSYŁAMY NA PIERWSZE ŻĄDANIE.

Wyszczególnienie robót wykonanych na jednolitej siatce metalowej w kraju jak i zagranicą, wysyłamy oddzielnie.

POMPY STUDZIENNE I ARTEZYJSKIE  
DO CELÓW ROLNICZYCH  
I PRZEMYSŁOWYCH.SIKAWKI i NARZĘDZIA DLA STRAŻY  
OGNIOWYCH.

WODOCIĄGI PNEUMATYCZNE

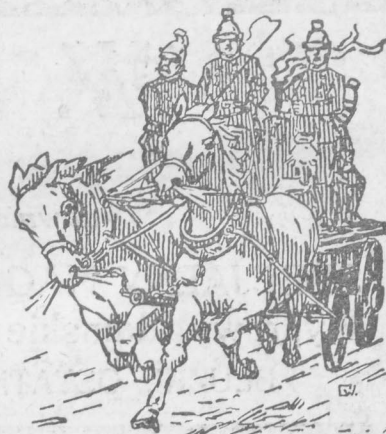
poleca

FABRYKA

Stanisław Trębicki i S-ka

Warszawa, Sienna 39. Telef. 10-30.

Cenniki i oferty na żądanie.



## WARUNKI PRENUMERATY „WSI ILUSTROWANEJ”.

W Warszawie: rocznie 9 rb., półrocznie 4 rb. 50 k., kwartalnie 2 rb. 25 k. (Za odnosz. do domu 50 k. rocznie).  
Na prowincji: rocznie 10 rb., półrocznie 5 rb., kwartalnie 2 rb. 50 k. W Ameryce: rocznie 8 dolarów. Cena pojedynczego zeszytu 1 rb., z przesyłką 1 rb. 20 kop., zagranicą 1 rb. 30 kop.

## CENA OGŁOSZEŃ.

Na okładce: (przed tekstem) cała kolumna 120 rb.  
1/2 kolumny 65 rb., 1/4 kolumny 35 rb., 1/8 kolumny 20 rb.;

Ogłoszenia przed tekstem o 25% drożej, na papierze kredowanym o 40% drożej.

Na okładce: (po tekście) cała kolumna 100 rb., 1/2 kolumny 55 rb., 1/4 kolumny 30 rb., 1/8 kolumny 15 rb.;

Na okładce: (zewnątrznej) tylko cała kolumna 150 rb.  
Ogłoszenia „opisowe” po 75 kop. za wiersz jednospaltowy petitu lub jego miejsce.

Ogłoszenia „zwykłe”: cała kolumna 100 rb., 1/2 kolumny 55 rb., 1/4 kolumny 30 rb., 1/8 kolumny 15 rb., 1/16 kolumny 8 rb.

Redakcja „WSI ILUSTROWANEJ” Koszykowa Nr 12, w Warszawie.  
Telefon Redakcji i Administracji 116-99. — Telefon prywatny Redaktora 120-00.

Redaktor KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Wydawca JÓZEF SOKOLNICKI.